

704713

DZIEŁA JANA KASPROWICZA

XIX.

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
STEFANA KOŁACZKOWSKIEGO

TOM XIX

WYDAŁ WOJCIECH MEISELS

1930

JAN KASPROWICZ

PISMA PROZA

I

KRAKÓW

1930



B

33292

UP - Kraków BG



1050210533

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

O MICKIEWICZU

I.

POJĘCIA SPOŁECZNO-POLITYCZNE MICKIEWICZA

Gdybym chciał bliżej określić stanowisko Adama Mickiewicza pod względem pojęć polityczno-społecznych, to musiałbym je nazwać chrześcijańsko-socjalistycznym, republikańskim a rewolucyjnym. Kierunek ten wytworzył się u wielkiego poety, głównie pod wpływem pism księdza Lamennais którego kościół rzymski uważał za właściwe wyeliminować ze swej owczarni. Wogóle czas, (r. 1833) w którym Mickiewicz przybył do Paryża, i w którym wyobrażenia jego polityczne i społeczne zaczęły wyraźne przybierać kształty, należał do najbardziej rozgorączkowanych perjdów dziejowego życia.

Echo wulkanicznych wstrząśnień, wywołanych przez rewolucję lipcową, nie umilkło, lecz owszem zdawało się rosnać i nowe zapowiadać wywroty. Widocznem było wtenczas, jak powiada sam Mickiewicz w „Myślach o Sejmie polskim“, iż wszystkie zasady na których opierała się budowa średnich wieków, są podkopane. Religja osłabiona, wypływające z niej instytucje: duchowieństwa, arystokracji, uprzywilejowanego średniego stanu starły swój dawny charakter. Wszystko podano w wątpliwość, w pogardę, w pośmiewisko. Stoi gmach jeszcze, jak dom podkopany w fundamentach, ale za pierwszym powiewem wiatru upadnie. Ta grożąca odmiana, niewidoma gabinetom, jak potop złym ludziom, skazanym na śmierć objawia się w różnych symptomatach, każdemu kto

czuje i myśli i wierzy w opatrność. Przepowiadają te burze filozofowie, poeci, księża, wieśniacy, na różnych punktach ziemi, w różnych partjach i religjach.

„Dość podnieść oczy w górę; tam ksiądz Lamennais, Schelling, Lamartine, Chateaubriand i mnóstwo innych, jak chorągwie na wieżach pokazują, skąd wiatr zaczyna wznosić się; dość ucho przyłożyć do ziemi: tam w tawernach niemieckich, w foburgach francuskich, nawet w chatach włoskich jeden rodzi się huk, wróżący trzęsienie ziemi“... Nie dziw zatem, że w takim czasie umysły szlachetniejsze, a gorętsze usiłowały wynaleść środki, ażeby społeczeństwa wyprowadzić z tego chaosu i ścieśnionej atmosfery na pole swobodne, na powietrze zdrowe. Mickiewicz środek ten widział przedewszystkiem w chrześcijaństwie pierwotnym, od którego w ciągu wieków „odstąpiły narody pod wpływem samowładnych królów“.

Zasady chrześcijańskie, zamknięte w formach katolicko-monarchicznych nie miały w nim zwolennika. Nie rozumiał on „teologii urzędowej“ wzywającej do pomocy przeciwko republikańsko-społecznemu duchowi „takich egzorcystów jak obywatel Barrot, generał Narvaez i hr. Stadion, akolita księcia Metternicha“. Nie rozumiał on tych chrześcijan czyli właścicieli katolików, legitymistów, którzy są „urodzonymi nieprzyjaciółmi wszelkiej wolności“, którzy „żegnają się w imię Ojca, a potem Burbona, a na końcu w imię Syna i Ducha“.

Dla niego chrześcijaństwo było równoznacznikiem wolności ludów, równości i powszechnego braterstwa i jako taki nie może być z jednej strony „sługą gabinetów“, z drugiej zaś strony nie powinien uważać za „splendor swego bytu“ to, co się przyczynia do „zaspokojenia kardynałów, do ocalenia własności ich rodzin i wielkich posiadaczy beneficjów kościelnych“.

Syn Boży poto zstąpił na ziemię „ażeby nauczać ludzi, iż wszyscy są bracią rodzoną“, że „ten jest większy między ludźmi, kto im służy i kto poświęca siebie dla dobra ich, że nie jest szanowana na ziemi ani mądrość ludzka, ani urząd, ani bogactwo, ani korona, ale jedno tylko jest szanowne poświęcenie się dla dobra ludzi“. I rzeczywiście, w pojęciach Mickiewicza, ewangeliczne ziarno, posiane przez Chrystusa, wydało błogi owoc: Z zatknięciem krzyża na gruzach imperjum rzymskiego zaczęła się krzewić swoboda pomiędzy narodami. Nie znikła wprawdzie różnica stanów, atoli była pomiędzy niemi spójnia złocista, wytwarzająca powszechną harmonję, a tą spójnią to nic innego, jak tylko wolność, która „szła z królów na panów, z panów na szlachtę, z szlachty na lud itd.“

Przyszli jednak później osobistości, którzy temu arkadyjskiemu życiu kres zadali, zaprowadziwszy na miejsce „prawdziwej wiary Chrystusowej nowe bałwochwalstwo“. Do kategorii tych bałwanów, stawianych wobec odurzonego ludu zalicza poeta nasz „to Honor, to Preponderancja polityczna, to Panowanie na morzu, to Handel, to Dobrobyt, to Równowaga polityczna, to Zaokrąglenie polityczne, to wogóle Interes“, — a więc hasła, które stanowiły i długo jeszcze stanowić będą treść życia narodów, życia nie opierającego się na zasadach etyki ogólnoludzkiej, etyki powszechnej sprawiedliwości i miłości, ale obracającego się w granicach określonych procesami dyplomatycznymi. A tylko moralność wewnętrzna, ugruntowana na zasadach prawdziwego chrześcijaństwa, powinna być jądrem społeczno-politycznego bytowania ludów, tylko na drodze przemian, dokonywających się we wnętrzu naszym, dojść można do upragnionego ideału „republikańsko-chrześcijańskiego“, do „stanu zgodniejszego z religją i ludzkością“. Jest to pewien rodzaj stanowiska ewolucyjnego: Mickiewicz był, jak Shelley i inni

duchem prawdziwego chrześcijaństwa owiani współcześni mu nauczyciele narodów, wrogiem krwi rozlewu, nieprzyjacielem wojen.

„Niech ogłosi“ — tak się odzywa on do projektowanego w owym czasie (1833) Sejmu polskiego — „że biorąc Chrystjanizm za prawo, potępia wszystkie wojny o granice, o handle, o porty itd.“ Albowiem wojny sprzeciwiają się zasadom chrześcijańskim, albowiem noszą na sobie „piętno bezbożności i sprawiają, że narody, mordując się wzajemnie, niszczą pojęcia moralne sprawiedliwości i miłości“. Atoli myliłby się, ktoby sądził, że natchniony poeta-prorok był pod tym względem zupełnie konsekwentny: Uwielbiał on rewolucję francuską, która, jak wiadomo, wywalczyła prawa człowiekowi za pomocą oręża; mimo przelewu krwi nazywał on ją „prawdziwą dziedziczką chrześcijaństwa, która głosem potężnych swych indywidualności odwołała się do absolutnej posady odwiecznej sprawiedliwości, przeciw wszelkim nadużyciom dawnego świata“. Wierzył w powszechną wojnę europejską, która „położy koniec despotyzmowi“, i której oczekiwać należy z dobytą bronią. „Nie składajcie broni — woła w księgach Pielgrzymstwa polskiego — póki despotyzm trzyma jedną piędź ziemi wolnej!“ Ale przy tej pewnej niekonsekwencji, wynikającej z jego pojęć chrześcijańskich i uczuć narodowych, wierzył on także, że to będzie ostatni przelew krwi, niejako przypieczętowanie grobu, w który zapadnie się na wieki „wszelki despotyzm“, wszelkie szachrajstwo polityczne i społeczne. Do tej powszechnej wojny winny zdążyć narody, mając zawsze w pogotowiu arsenał pełen wewnętrznych, moralnych, jak i zewnętrznych środków, nie oglądać się na wpływy postronne, nie wierzyć w to, ażeby narody „pokłócone“ sztucznie, można pojednać „rozsądną dyplomacją“. Zwłaszcza Polacy — powiada dalej Mickiewicz —

nie mają oglądać się na nikogo, ani na króli, ani na dyplomatów... „Przywiązując uwagę do kroków dyplomatycznych, fałszujemy opinię“.

Zdawało mu się bowiem, iż „Polska wtenczas silnie powstanie, kiedy nabędzie przekonania, iż bez wszelkiej obejdzie się pomocy, i wtenczas tylko znajdzie pomoc“. Wojna powszechna powinna zająć Polaków, albowiem losy ich ojczyzny powiązane są ścisłym węzłem z losami całej ludzkości, a przynajmniej z losami ludów europejskich: „chcieć poprawić stan narodu polskiego niezależnie od stanu Europy całej, jestto działać wbrew interesom tego narodu“. Wielkie słowo, które i dzisiaj możnaby przeciwstawić zaściankowej polityce tych „patryotników“ naszych, co to im włosy dębem stają ze zgrozy, gdy usłyszą, że ten i ów, rozumiejąc naturę dzisiejszych prądów europejskich, solidaryzuje się z nimi i stara się o ich zaszczepienie w chory organizm własnego społeczeństwa. Rzecz prosta, że prądy te rodzą się w głowach „nieprzyjaciół“ istniejącego porządku, o których Mickiewicz powiedział, że oni są naszymi jedynymi sprzymierzeńcami.

Wchodzić w to nie będę, nie należy to bowiem do zakresu przedmiotowego artykułu, nie mającego na celu nic więcej, prócz wykazania, jakie pojęcia pod względem politycznym i społecznym ożywiały poetę, który dzisiaj znowu stanął w żywej pamięci narodu. Jak wszyscy mesjaniści nasi, tak i Mickiewicz, i to głównie on, wierzył, że połączona z interesami Europy sprawa Polski, wpłynie w sposób nader radykalny na przeobrażenie stosunków powszechnych. Co więcej, zdawało mu się, że biorąc na uwagę jeden choćby moment, ale moment w życiu narodów decydujący, wolność narodów europejskich zależną jest od wyswobodzenia Polski: „Polska zmartwychwstała ma spoić znowu narody wolnością“. Z oswobodzeniem Polski przeobrazi się fizjognomja ludzkości: za-

jaśniej ona całym urokiem wolności i sprawiedliwości. Społeczeństwa, które dotychczas współzawodniczyły z sobą, posługując się środkami podług wyobrażenia wielkiego poety antychrześcijańskimi, środkami jak: szabla, karabin, armata, złączą się w imię braterskiej miłości, w imię sprawiedliwości powszechnej: „Anglja, Francja, Niemcy, mają stanowić jeden naród“. Dlatego też kto mówi o interesach „jednego“ narodu, jest nieprzyjacielem wolności. Polska mówi do ludów: porzućcie wszystkie interesa miejscowe, a idźcie za wolnością; izby i budżety, handel i rolnictwo, wszystko przyjdzie samo z siebie, ale naprzód o wolności tylko myśleć należy“. Szeroki to horyzont: Obejmować go mogło tylko oko tak jasnowidzące, jak oko genjuszu mikiewiczowskiego. To przyznawanie zależności zbawienia Polski od powszechnej wolności i odwrotnie, ta wiara we wspólność interesów tych ludów, są to znamiona ducha niezwykłego, ducha, który umiał się wyswobodzić z ciasnych powijaków tych pojęć „narodowościowych“, od których do pojęcia „rasowości“ i wypływających z niej konfliktów maleńki tylko kroczek. Konflikty te, urodzone „z egoizmu narodowego“, który „rządy europejskie, oddalając się ciągle od prawideł Chrystjanizmu, wprowadziły, zatrzymując postęp wolności, zrobiwszy z tego, co się nazywało jednym chrześcijaństwem, kilkadziesiąt narodów, nienawistnych sobie nawzajem“, wytwarzają nienawiść, a „nienawiść roztacza powoli duszę i wycieńcza zdolności nakształt raka trawiącego“. Wprawdzie „wszystkie siły i środki leżą w duchu narodowym“, ale w duchu, który nietylko, że nie wyklucza tego, lecz wręcz żąda, abyśmy byli „rycerzami wolności powszechnej“. Ta myśl też „podniosłaby każdego w jego własnych oczach, a potrzeba wielkiej myśli dla obudzenia ducha wielkich poświęceń“. Poświęcając się, dojdziemy do błogo-

ślawionego kresu naszych cierpień; z końcem męczarni Polski zakończą się także katusze innych narodów; jak zielsko, wyplenione zostanie wszystko złe, co się dzisiaj, bujnym wyrósłszy chwastem na polu życia społeczno-politycznego, tłumi rozwój kwiatów, kielkujących z tych ziaren szlachetnych, jakie się kryją w wnętrzach ludzi. Tak! „jak Chrystus śmiercią swoją położył koniec krwawym ofiarom, tak Polska położy koniec wojnom, ofiarom narodów“...

Jestto rzeczą łatwą do zrozumienia, że człowiek, obejmujący tak rozległe widnokreśli, żeglujący nie po jakiejś rzeczulce, która wypływa z pod zapłocia „rodzinnych“ osad i pod temi zapłociami ginie, ale rozwijający szerokie żagle na oceanie myśli ludzkiej, nie mógł się pogodzić z hasłem, tak często stawianem za dogmat społeczno-politycznego życia narodu przez naszych domorosłych „przywódców“ — z hasłem tak zwanego „rozsądku“... Wiedział on dobrze, że „rozsądek, bardzo potrzebny w życiu prywatnem i na codzienne potrzeby wystarczający, niedołężny jest i zgubny, kiedy wyrokuje o środkach, tyjących się sprawy narodów. Bo rozsądek liczy pożytki na miesiące i lata, a życie narodów obejmuje wieki“.

Wypowiadając te kapitalne słowa, przeczuł snąć Mickiewicz zabiegi tych nędznych „organiczników“ naszych, którzy po rzekomych „klęskach“, jakie odnieśliśmy wskutek ostatniego „upadku szalonych porywów“, zaczęli, niepomni na olbrzymie moralne zwycięstwa, zdobyte przez nas w latach zbrojnych protestów, wydobywać z kas bankierskich czekii najlichszego gatunku i wołać do narodu: Patrzajcie! w tem jest wasze zbawienie. Hasła te były na rękę spodlonym lub słabym jednostkom, które i bez tego nie „zapalały się nigdy do czynów bohaterskich“, które i bez tego dbały tylko o brzuch

swój własny, o „wywalczenie“ sobie jak największej sumy dobrobytu, durząc społeczeństwo w sposób obłudny tą zgubną zasadą, że kapitał, leżący w ręku jednego lub drugiego, stanowi majątek powszechny i jest znamieniem żywotności narodu. Dziś, chwała Bogu, jesteśmy już tak daleko, że tej żywotności nie mierzymy miarą naszych Rotszyldów, większych i mniejszych; dziś jesteśmy już tak daleko, że ideałów, zrodzonych w kantorach kupieckich i bankierskich, nie uważamy za alfę i omegę naszych dążeń; dziś jesteśmy już tak daleko, że wiemy, iż krew, którą ongi wylano za ojczyznę, za „waszą i naszą wolność“, nie poszła na marne, że wyrośnie z niej potężne drzewo swobody wszechludzkiej. Wiedział Mickiewicz, że hasło „rozsądku“ wylania się zawsze w czasach upadku moralnego: „Kiedy haniebnemu sejmowi Ponińskiego“ — tak pisze on w Pielgrzymie w rozprawie: o ludziach rozsądnych i ludziach szalonych d. 27 maja 1833 r. — „radzono podpisać akt samobójstwa, nie śmiano już do Polaków przemawiać językiem starym, wzywać ich w imię Boga, w imię powinności, trzeba było stworzyć język nowy: rozprawiano więc o okolicznościach czasu, miejsca, o trudnościach, o nadziejach; nareszcie zaklinano obywateli w imię rozsądku, aby przestali czuć po obywatelsku. Gdzież rozsądek — wołano — chceć opierać się woli przemocy? Gdzie są środki oparcia się? Czy jest czas potemu? Czy nie lepiej część poświęcić, aby resztę zachować? Ze skolatanego statku Rzeczypospolitej wyrzucić dla ulżenia mu kilka województw? Od chorego ciała Rzeczypospolitej dać odciąć część, której niepodobna „uzdrowić“ etc.“... I zgodzono się w imię rozsądku na rozbiór Polski.

Zgodzono się tem więcej, że, jak wiadomo z dziejów ojczystych (patrz choćby Lelewela wyszczególnienie kubanów, jakie otrzymali onego czasu nasi „rozsądni“ od Moskwy etc.),

ta zgoda opłacała się bardzo dobrze — poszczególnym jednostkom: czerwone dukaty, ordery i tytuły posypały się na naszych „przywódców“, a przecież z tych dukatów czerwonych, z tych orderów, z tych tytułów, ogółowi społeczeństwa nic nie przyszło, prócz chyba wiekowej niedoli, prócz pogardy, jaką nas zaczynają otaczać wówczas narody wolne, nie kierujące się zbyt mocno „rozsądkiem“. Na szczęście nasze nie spróchniały w nas jeszcze wszystkie korzenie silniejsze, nie skwaśniały w nas jeszcze wszystkie soki zdrowsze.

„Kiedy Konfederaci barscy — tak powiada dalej nasz wieszcz w przytoczonej powyżej rozprawie — broń podnieśli, znaczna część narodu podzielała ich uczucie; ale „rozsądek i polityka“ tak się rozszerzyły między szlachtą, że zamiast wsiadania na koń, zaczęto rozważać, czy sposobna była pora, oczekiwać odpowiedzi z Wiednia, posiłków z Francji etc. Nareszcie Konfederaci napadli Stanisława Augusta; krzykniono, że splamili honor narodowy, Konfederatów potępiono jako szalonych awanturników. Naród i potomność inny wydały o nich wyrok... Kiedy Kościuszko stanął na czele narodu, kiedy Warszawę oswobodzono, Stanisław August, przyjmując deputację rewolucyjną, rzekł na pół z płaczem: „To jest wszystko pięknie! *c'est sublime!* Ale, moiści, Dobrodzieje, czyż to rozsądnie? Cóż z tego będzie?...“ Kościuszko umarł na wygnaniu, ale zwłoki jego złożył naród w grobach królów naszych, — Stanisław August pochowany był z honorami królewskimi w Petersburgu... Cóż z tego wszystkiego wnosimy? Oto, że rozsądek, czyli wzgląd na okoliczności zmienne życia codziennego, nie jest trybunałem na sądzenie spraw dotyczących się wieków i pokoleń; że rozsądek polityczny jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego“...

W tej też myśli zachęcał Mickiewicz społeczeństwo, a zwa-

szcza emigrację do czynu, emigrację, która podług jego mniemania oddawała się zbytecznie „politykowaniu“.

„Cóż nam pomogą ludzie, którzy szeroko prawią o atrybucjach władzy narodowej, kiedy nami władają sierżanci miejsy (tyczy się to ówczesnych stosunków listopadowych), o sądach i kodeksach, kiedy nas bez sądów gonia, a rodaków więżą i strzelają etc.“

Piorunując na to „politykowanie“, nie sądził on jednak, ażebyśmy byli „bezpolicykowcami“, bo „bezpolicykowcy“ to ludzie „którzy nie wiedzą, z jakim wiatrem płynąć i wśród burzy nietylko zwijają żagle, ale uciekają z pokładu, nie chcą nawet uważać nieba i gwiazd, radzą schować się na spód, krzycząc: jak wiatr pomyślny zawieje, wtenczas wyjdziemy na wierzch“. (O bezpolicykowcach etc. rozpr. w Pielgrzymie z 10 maja 1833).

Oddawać się polityce, ale polityce tej, którą stanowią czyny, albo słowa i myśli, które rodzą czyny. Takimi czynami jest walka, zwycięstwo lub męczeństwo; takimi słowami były np. dawniej słowa Ewangelji, potem naśladowanie ich, słowa Koranu, słowa Wiklefa, Husa, Lutra, Saint-Simona, — słowa wielkiej rewolucji francuskiej, w obradach konwentu, kiedy wypowiedano wojnę całej Europie, rozkazy dzienne Napoleona, pieśń o Dąbrowskim etc. (O bezpolicykowcach etc. 10 maja 1833).

W rozprawie „o dążeniu ludów ku nowemu systemowi podatowania“ pełny jest sarkazmów przeciwko „ekonomistom, kameralistom, statystykom, administratorom“ przeciwko kupcom, „teraz samowładnym, którzyby z właścicieli i z ludu ostatnią sztukę miedzi wycisnąć chcieli“, przeciwko drapieżności, głosząc natomiast, że z postępem wolności społeczeństwa chętnie płacić będą na potrzeby krajowe, jeżeli będą miały zagwarantowaną możliwą sumę swobód.

„Nałożono — powiada — podatek na światło, ciepło, na dowcip dziennikarzy; dziwna rzecz, iż dotąd nie kazano płacić za lzy i westchnienia: może to ekonomiści rosyjscy dla wzbogacenia Mikołaja wynajdą“... Ludy same płaciły zawsze dobrowolnie podatek: „skoro podniesiono wojnę w imię wielkich uczuć narodowych, europejskich... zebrano miljony dla Greków, mimo niechęci, mimo przeszkód!“ Nie skończyłbym, gdybym chciał przykładami, wyjętymi z pism wielkiego poety, ilustrować ten umysł wspaniały, to serce potężne, odczuwające każde tętno, każdy ból społeczeństwa i podające środki lecznicze na te dolegliwości.

Niniejszy szkic, który i tak przedłużyłem ponad przepisaną miarę artykułu dziennikarskiego, zakończę kilku cytatami, malującemi jego zapatrywania na sprawę ludową, zapatrywania, którychby się nie powstydzil „najszczerzy dzisiejszy demokrat“, i wiązańką uwag, udzielonych w roku 1833 galicjanom na żądanie obywatela galicyjskiego Józefa Zaleskiego. W sprawie emancypacji włościan znane są wiekopomne jego słowa: „Prawdziwa siła jest tylko między prostym ludem i w decydujących chwilach głos wyjdzie od niego“. (Mowa M. z dnia 9 marca 1847). Warto byłoby, ażeby wyrazy te zapisali sobie złotemi głoskami w sercu i mózgu zarówno nasi „konserwatyści“ jak i ta część „socjalistów“ naszych, którym się „nie zdaje“, ażeby „patrijota“ mógł tak podnosić zająć stanowisko.

Słuchajcie nasi „międzynarodowcy“ dalszych jego słów lapidarnych: „Oddajcie im (chłopom) w dziedzictwo posiadaną ziemię, na której się zrodzili, którą krwawą pracą zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą!“ Sądzę, że to wam wystarczy, sądzę, że ani Lassalle ani Marx — przed którymi, nawiasem powiedziawszy, korzę swoją głowę — nie wypowiedzieli nic silniejszego... Wzmiankowane uwagi, udzielone

Zaleskiemu, świadczą, że „rozgorączkowany rewolucjonista“ Mickiewicz, nawołując do czynu, dalekim był od popychania społeczeństwa, aby się rzucało, jak to mówią, z motyką na słońce, że niebrakło mu potrzebnego w pewnych razach „rozsądku“, a zarazem wielkiego „zmysłu politycznego“. Pragnął on wciągnąć do życia publicznego przede wszystkim wszystkie klasy społeczeństwa: „Księżę, hrabia, chłop i żyd równie są nam potrzebni. Każdego z nich trzeba przerobić na Polaka. Dopóki niema życia publicznego, ludzie ambitni będą szukać znaczenia w salonach — dopóki nie można szukać sławy ze służenia ojczyźnie, będą szukać blasku w tytułach. Trzeba to cierpliwie znosić a umysły ciągle ku wyższym celom kierować. Dlatego najstaranniej unikać wszelkiej wewnętrznej kłótni o arystokrację i demokrację. Osoby mające znaczenie z majątku i urodzenia (bo „innego teraz znaczenia w Galicji niema“ — tak pisał przed 60 blisko laty to samo można i dziś jeszcze niestety powiedzieć) mogą niezmiernie zasłużyć się sprawie narodowej, protegując, wspierając, zachęcając wszelkiego stanu ludzi, w których widzą miłość Polski; zaprzyjaźniać się szczególnie z patryjotycznym duchowieństwem wszelkiego wyznania. Szczególniej mieć na celu duchowieństwo ruskie. Unikać wszelkich kłótni z popami, a mianowicie procesów. Niejeden obywatel, który w czasie powstania cały majątek poświęca, w czasie pokoju nie chce ustąpić księdzu lub włościaninowi kilku drzew z lasu, albo kawałka ziemi i odstręcza przez to całe klasy mieszkańców. Powtarzajmy sobie ciągle, że chwilowe poświęcenie jest łatwiejsze a mniej skuteczne, niż poświęcenie ciągłe i drobne dla sprawy ojczyznej; dla braku tych ciągłych i drobnych poświęceń nie mają potem skutku ogólne chwilowe poświęcenia...

„Dawne przesady przeciwko niektórym klasom mieszkań-

ców, na przykład pewna pogarda ku dzieciom duchownych greckich, jest wielkim grzechem politycznym, najniebezpieczniejszym dla sprawy naszej. Należy dołożyć wszelkich starań, aby opinję publiczną w tej mierze sprostować.

„Chłopom nietylko w ogólności lepszą wróżyć przyszłość, ale w szczególności, ile tylko można, byt ich poprawić. Takim np., którzy znani są z zapału dla sprawy narodowej, takim, których dzieci walczyli, jeśli można, nadawać własność i od czynności uwalniać, domy budować, bydło kupować. Niechby w każdej wsi kilku albo choć jednego gospodarza na rok tym sposobem wyposażono ze składki, zrobionoby więcej dla sprawy narodowej, niż wysyłaniem emisariuszów za granice lub zakupywaniem niewczesnem broni, która wydaną i zabraną być może.

„Pisma, które krzepią ducha narodu, rozrzucać ile możności po kraju“...

Dałem małeńki tylko obraz poglądów społecznych i politycznych Adama Mickiewicza, zachęcając czytelników do poświęcenia wolnego czasu na odczytywanie tego szeregu wspaniałych i potężnych myśli, jakie Mickiewicz zawarł w swych artykułach, pisanych prozą. Czytając je, oddamy tem większą cześć nietylko poecie, który umiał opisywać pola nasze, „posrebrzane żytem“, ale przede wszystkim człowiekowi który odczuwał bole wszystkich ludów i dążył do wyzwolenia ich z cierpień, i pokazywał im ideał przyszłego ustroju, ideał, na którego stworzenie mogła się zdobyć tylko tak szlachetna, gorąco miłująca ludzkość natura, jak Mickiewiczowska.

II.

POD ZNAKIEM MICKIEWICZA

Żyjemy w czasach, kiedy widmo reakcji coraz to natargiwiej dobija się do naszych drzwi, kiedy ci, co uzurpują sobie nazwisko kwiatu narodu, naród ten z coraz to większą bezwzględnością pchają na manowce abdykacji z wyobrażeń, uczuć i pragnień, uświęconych rzadkiem w dziejach bohaterstwem zgasłego lub dogasającego pokolenia.

W społeczeństwie, które niedawno jeszcze kroczyło nieomal na czele wielkiego pochodu wolności, w społeczeństwie tem zapanował taki zamęt pojęć, że to, co wczoraj jeszcze najwspanialszą było cnotą, dzisiaj otrzymuje jeżeli nie miano zbrodni, to conajmniej jakiejś karygodnej mrzonki, jakiejś z rzeczywiście zadaniami bytu nie licującej utopji.

Patrząc dzisiaj na liczne objawy naszego życia, możnaby w istocie przypuścić, że staliśmy się urzędowymi pionierami politycznego i społecznego wstecznictwa, a przecież w głębiach naszego narodu mieszczą się pierwiastki, zadające kłam trwałości dzisiejszych szumowin.

Pierwiastki te, przeszedłszy ciężki, ale wspaniały proces krystalizacji w ostatnich chwilach Rzeczypospolitej i w epoce porozbiorowej, znalazły najpotężniejszy, widomy wyraz w postaci wciąż pomiędzy nami żyjącej i na zawsze żyć mającej, w niezniszczalnym duchu Mickiewicza, pod którego znakiem rozpoczynamy rok 1898.

To ucieleśnienie cierpień i pragnień, ewolucyjnych zabiegów i krwawych, gwałtownych, przebojów narodu, jest tego narodu nie tylko poezją, ale i jego mądrością — mądrością o sile żywiołowej, mądrością tem potężniejszą, bo kryjącą w sobie warunki rozwoju ogólnie ludzkiego, mądrością, którą tak zwany trzeźwy rozsądek kombinacji dyplomatycznych na-

razie przygnieść może swoim brutalnym ciężarem, ale która po chwilowym zgębieniu w tem potężniejszej wyrośnie nad nami postawie.

Jest to prawo objawiającego się perjodycznie w dziejach zwycięstwa ducha nad bezduszną materją, zwycięstwa posuwającego ludzkość ku coraz to doskonalszym ustrojom politycznym i społecznym, ku ustrojom, których pragnienie zawarte jest w całej, prawdziwie wielkiej poezji, w całej, prawdziwie wielkiej filozofji świata.

Zmieniliśmy się bardzo: to co stanowi istotę twórczości Mickiewiczowskiej, a co przed kilkudziesięciu laty postawiło mistrza Adama obok najpotężniejszych genjuszów ludzkości, mądrość, promieniejąca słonecznym ogromem życia w jego pismach, w jego „Odzie do młodości“, w jego „Dziadach“, w jego biblijnych księgach pielgrzymstwa i narodu polskiego i pozbawiona czaru formy poetyckiej, ale pełna apostołskiego zapału, pełna dosadnych argumentacyj w jego utworach prozą, mądrość ta, gdyby chciano mierzyć wyobrażeniami naszych urzędowych przywódców, spotkałaby się, jak to słusznie ktoś zauważył, z nazwiskiem mądrości komunistycznych petrolierów.

W dzisiejszej chwili upadku poczucia swobody przypomnijmy sobie w najogólniejszych choćby zarysach zasadnicze cechy przekonań naszego wieszcza. Będzie to dla nas bodźcem do dalszej walki z podłością, z podeptaniem praw, z stadowemi popędy zbalamuconego społeczeństwa.

Człowiek religijny, choć wróg wszelkich formułek urzędowych, widział Mickiewicz środek, mający zbawić ludzkość, w powrocie do pierwotnego chrześcijaństwa, które było dlań równoznacznikiem swobody ludów, równości i braterstwa czerpiącego soki żywotne w poświęceniu się wszystkich dla wszystkich. Chrystus, zstąpiwszy na ziemię, nauczał ludzi,

że rodzonymi są braćmi; chwila zatknięcia krzyża na gruzach rzymskiego imperjum braciom tym przyniosła swobodę, która, choć społecznie nie znikły różnice stanów, tworzyła braterską ich spójnię.

Ale ideał chrześcijański, nim się zdołał rozwinąć, usunęły w ciągu wieków inne bożyszcza, hasła, które stanowiły i stanowią dotychczas treść bytów państwowych, nie opartych na zasadach etyki ogólnie ludzkiej, etyki powszechniej sprawiedliwości i miłości, ale pozerających się wzajemnie w imię honoru, w imię preponderancji politycznej, w imię Równowagi czy Zaokrąglenia, w imię Panowania na morzu, Handlu, Dobrobytu, — jednym słowem w imię wszechwładnego dziś interesu.

Ten interes materialny sprzeciwia się ugruntowaniu moralności wewnętrznej na zasadach prawdziwego chrześcijaństwa, ten interes doprowadza do tego, że narody, wszczynając wojny, „noszące piętno bezbożności na sobie“, że „mordując się wzajemnie, niszczą pojęcia moralne“, bez których niema prawdziwie ludzkiego bytu.

Wielbiciel zasad rewolucji francuskiej, która według jego wyobrażeń „głosem potężnych indywidualności odwołała się do absolutnej posady odwiecznej sprawiedliwości przeciw wszelkim nadużyciom dawnego świata“ i „nie walczyła ani o granice ani o handel“, lecz o to, co jest w człowieku najistotniejszym, o harmonijny rozwój jego ducha, o jego swobodę, godził się na jedną, ostatnią wojnę europejską, wszczętą o ostateczne urzeczywistnienie hasła wielkiej Rewolucji, dla niego jednogodnych z zasadami prawdziwie pojętego chrześcijaństwa.

Z wojny tej wyjdzie ludzkość z fizjonomją zupełnie zmienioną: społeczeństwa, które dotychczas współzawodniczyły ze sobą, posługując się środkami, według naszego wieszczą

niechrześcijańskimi, jak „szabla, karabin, armata“, złączą się w jedną wielką, braterską rodzinę. Duch to prorocत्व Jezajaszowych, treść Chrystusowych ewangelij, boska mądrość św. Pawła; duch tkwiący na dnie i dzisiejszych ruchów ludowych, choć niejednokrotnie ruchy te zbaczają na marnowce walki o materialne przeważnie dobro jednej tylko warstwy.

Nie o jednej też warstwie, ale i nie o jednym narodzie myśleć należy, bo „kto tak myśli jest nieprzyjacielem wolności“.

Jak dobro jednostki uwarunkowaniem jest dobrem bliższego lub dalszego ogółu, tak i dobro jednego narodu zależnem jest od dobra narodów innych. To też „chcieć poprawić stan narodu polskiego niezależnie od stanu Europy całej“ (tj. Europy ludowej) jest to działać wbrew interesom tego narodu.

To przyznawanie zależności zbawienia Polski od zbawienia innych narodów, które przecież mimo niepodległości państwowej nie zawsze pod względem swobody politycznej i społecznej w pozazdrośczeniach godnem znajdują się położeniu, i na odwrót: wiara w szczęście ludów, uwarunkowane zmartwychwstaniem Polski, nie wyklucza bynajmniej idei narodowościowej, lecz owszem trwalsze buduje dla niej podstawy. „Wszystkie siły i środki“ — pisał Mickiewicz — „leżą w duchu narodowym“, ale duch ten wolny być musi od tych pseudonarodowych ciasnych powijaków, od których do pojęcia „rasowości“ i zrodzonej przez nią nienawiści krótka jest droga. A nienawiść, którą podnieca egoizm sfer panujących, „roztacza powoli duszę i wycieńcza zdolności nakształt raka trawiącego“.

Kto tak patrzył na ideowe znaczenie dziejów ludzkich i na posłannictwo własnego narodu, kto uczył, że taka myśl, takie pojmowanie misji ludów podniosłoby człowieka w jego własnych oczach, a potrzeba wielkiej myśli dla obudzenia

ducha wielkich poświęceń“ — kto w mesjanicznym wołał natchnieniu, że „jak Chrystus śmiercią swoją położył koniec krwawym ofiarom, tak Polska położy koniec wojnom, ofiarom narodów“ — taki prorok, taki apostoł, taki ewangelista musiał być wrogiem tak zwanego rozsądku.

Nie mógł się on pogodzić z hasłem, stawianem i przez ówczesnych urzędowych polityków naszych, z hasłem, które cele dalsze, cele idealne każe z uszczerbkiem godności narodowej poświęcać dla problematycznej korzyści doraźnej — i to nie korzyści ogółu, lecz tej lub owej jednostki, tej lub owej kasty. Wiedział on, że „rozsądek czyli wzgląd na okoliczności zmiennego życia codziennego nie jest trybunałem na sądzenie spraw dotyczących się wieków i pokoleń, że rozsądek polityczny jest często w sprzeczności z rozumem narodowym, z rozumem rodu ludzkiego“. Wiedział on, że „rozsądek, bardzo potrzebny w życiu prywatnem i na codzienne potrzeby wystarczający, niedołężny jest i zgubny, kiedy wyrokuje o środkach, dotyczących się sprawy narodów“, bo „rozsądek liczy pożytki na miesiące i lata, a życie narodów obejmuje wieki“.

Hasło rozsądku politycznego wylaniało się zawsze — zdaniem Mickiewicza — w chwilach moralnego upadku, i z upadku tego nie dźwigało. Czyż niedawna orgja „rozsądku“ w Poznaniu i Warszawie nie jest najlepszym tego dowodem?

Ruchy ludowe gorącego miały w nim zwolennika; atoli według niego „prawdziwy socjalizm nie zagraża porządkowi publicznemu, nie zachęca do materialnego nieładu, do rozruchów ulicznych i do ich następstw“. Ten „prawdziwy socjalizm — nie był też nigdy nieprzyjacielem władzy, wskazuje on tylko, że w starym społeczeństwie nie istnieje żadna posada, na której możnaby zbudować prawowitą władzę, to jest stosowną do dzisiejszej potrzeby ludzkości“. Kto z takiego stanowiska patrzył na ideę socjalizmu, dla tego idea ta

nie mogła być kwestją emancypacji jednej tylko warstwy, nie mogła być wyłącznie kwestją materialnego i moralnego dobra czy to robotnika czy chłopą.

Pomimo to, zeszedłszy z wyżyn ideowych na grunt działalności praktycznej, zajmował się Mickiewicz gorąco sprawą ludu, a wskazania jego agitacyjne mają i dzisiaj jeszcze z pewnemi zmianami, wywołanemi zmianą warunków, wysoce aktualne znaczenie. Wierząc, że „prawdziwa siła, jak mówił, jest tylko między prostym ludem i w decydujących chwilach głos wyjdzie od niego“, wieszcz nasz wołał do Galicjan jeszcze przed uwłaszczeniem: „Oddajcie im (chłopom) w dziedzictwo posiadaną ziemię, na której się zrodzili, którą krwawą pracą zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą“. Hasło emancypacji ludu było dla niego jednym z tych czynów, od których zawisło przyszłe, idealne ukształtowanie się stosunków ludzkich.

Odpowiednio do istoty swego „socjalizmu“, który jako „zasada może być przyjętą tylko przez ludzi religijnych i przez patriotów“, pragnął Mickiewicz wciągnąć do życia wszystkie klasy społeczeństwa: „Książę, hrabia, chłop i żyd równie są nam potrzebni — każdego z nich trzeba przerobić na Polaka“.

Wskazując na środki działalności doraźnej, powszedniej, zalecał, aby „osoby mające znaczenie z majątku i urodzenia (a innego — mówił — teraz znaczenia w Galicji niema)“, protegowały, zachęcały, wspierały wszelkiego stanu ludzi, w których widzą miłość Polski. Radził zaprzyjaźnić się z duchowieństwem, szczególnie ruskiem, unikać sporów i kłótni z popami, radzić, manifestować w życiu te drobne, ale ciągle poświęcenia, dla których braku nie mają potem skutku ogólne, chwilowe poświęcenia“ — życia lub majątku, złożonych na ołtarzu Ojczyzny. „Niejeden obywatel“, który w czasie powstania cały majątek poświęcił, nie chce ustąpić księdzu lub

włościaninowi kilka drzew z lasu lub kawałka ziemi i odstręcza przez to całe klasy mieszkańców“.

Są to prawdy, które, jeżeli kiedy, to dzisiaj każdy uczciwy, o dobro społeczeństwa dbający obywatel głęboko powinien sobie wyryć w duszy i uczynić z nich drogowskaz swego działania.

Przypomnienie tych prawd w rozpoczynającym się roku Mickiewiczowskim było naszym obowiązkiem, a prawdy te zawierają zarazem wielką dla nas otuchę, bo dowodzą, że społeczeństwo, którego najpotężniejszy umysł takim przejęty był duchem, duchowi temu sprzeniewierzyć się nie może, bo sprzeniewierzyłoby się swej własnej, najwewnętrzniejszej, warunki dalszego bytu zawierającej istocie. Mogą być chwile zapomnienia, wywołanego uciskiem, ale chwile te przejdą, choćby reakcja pragnęła wytężeniem wszystkich sił chwile te przedłużyć na lat dziesiątki. A więc śmiało do walki — pod wspaiałym znakiem Mickiewicza.

III.

PRZED POMNIKIEM MICKIEWICZA

Gdybyśmy chcieli znaleźć formułę dla określenia ostatnich kilkunastu lat naszego bytu narodowego, streścilibyśmy go w słowach: żyjemy pod znakiem Mickiewicza.

Zjawisko to znamienne i nie należy go wyprowadzać jedynie z przyczyny zewnętrznej, z minionej niedawno setnej rocznicy urodzin poety: wiąże się ona z faktem daleko donioślejszym, mianowicie z spotęgowanym prądem odrodzenia, którego widome dowody we wszystkich spotykamy dzielnicach.

Hasło „pragniemy żyć“ rozpowszechnia się dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, dociera do najdalszych, do najbardziej zapomnianych zakątków i z tych zakątków silnym obzywa się pogłosem.

Zarzucił nam kiedyś Bismark, że mamy za dużo polityki w poezji, a za dużo poezji w polityce. Charakterystyka niewątpliwie słuszna, tylko nie zasługująca bynajmniej na to, aby stosowano ją do nas jako zarzut. Bo cóż ona znaczy innego ponadto, że twórczość nasza w wielkich, życie narodu ogarniających objawia się kształtach?

A życie to posiada w sobie widoczne pierwiastki szlachetne, niezwykle, jeżeli mogło i może stawać się bodźcem do uzewewnętrznienia się potęgi duchowej, przez Opatrzność danej genjuszom z tem przeznaczeniem, aby świadczyły o Jej nieśmiertelnej potędze.

Polityka też nasza — jako bismarkowskie źródło poezji — to nie dyplomatyczne zabiegi o zdobycie dóbr, dla których Żelazny Książę deptał wszelkie prawidła moralne, to nie walka, jak mówi Mickiewicz, o interesy dynastów, to nie żądza przelewu krwi o „preponderancję“ państwową, o wyniesienie wątpliwej wartości „honoru“, to nie szacherka o zapewnienie władzy rozmaitym, przez twórcę „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa polskiego“ potępionym „ekonomistom, kameralistom, statystykom, administratorom i samowładnym kupcom, wyciskającym z ludu ostatnią sztukę miedzi“.

„Polityka“, którą żyła „trójca wieszczów naszych“, to wiara „w niedopełnioną pracę duchów i w łańcuch żywotów, które podług tej wskazówki wyduchowienia są uważane, są Ewangelią dowiedzione“ — to wiara „w narodowość, to jest w solidarną misję duchów, powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością“, z czego „wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktownem uczuciem tej odpowiedzialności, a po-

święcenie się nie jest szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym“.

Przetłumaczywszy powyższe słowa Towiańskiego na język przystępniejszy, powiemy „że „polityka“ przenikająca: „Dziady“, „Nieboską“, „Króla Ducha“, to głębokie, ekstatyczne przeświadczenie o niezniszczalności życia narodowego, choć życie to ciężkie niemal śmiertelne znosi katusze; to udokumentowanie głoszonej przez naszych mistyków zasady, że „siła rodzi się tylko w bólu“, to wielka dążność moralna do utrwalenia moralnej władzy równej dla wszystkich sprawiedliwości, to żądza powiązania narodów wspianąłą spójnią braterskiej, przez Mickiewicza tak często i tak uroczyście głoszonej miłości.

Nie jest pora, ani miejsce potemu roztrząsać o ile te z uczuciowego podkładu polskiej duszy zbiorowej płynące hasła mają realne warunki bytu, a o ile są utopijne; z mego stanowiska mógłbym tylko zauważyć — a każdy niezacietrzewiony jakimi bądź chwilowymi prądami przyznać musi — że właśnie temu uczuciowemu podkładowi zawdzięczamy — mimo warunków najnieprzyjaźniejszych — nietylko rzeczywistość istnienia dzisiejszego, ale i niezłamaną dotychczas wolę istnienia w przyszłości.

Wobec pomnika Mickiewicza nie wypada używać wyrazu „literatura“. A jednak patrząc na ten żywiołowy pęd, który do Lwowa ściąga dzisiaj tłumy, trzeba nam mimowoli potracić i o literaturę, gdyż w niej — oczywiście w najlepszej jej części — uświadamia się to, co w pędzie wspomnianych jest w wyższym, niż nam się zdaje, stopniu, nieświadomem.

Według powszechnych u nas na oko wyobrażeń, Mickiewicz, zastawiający zegarek, aby dzieciom swym kupić mleka, należał do tej kategorii ludzi, którzy w realnem życiu narodu żadnej realnej nie przedstawiają wartości.

Nie był ani mężem stanu, ani starostą, ani adwokatem, ani urzędnikiem tej lub owej dykasterji, ani wielkim czy małym przemysłowcem — jednym słowem nie był tzw. „użytecznym członkiem“, że już nie powiem „podporą społeczeństwa“.

Mimo to, jakby na jakieś tajemne, mistyczne hasło, wszyscy wielką płyniemy falą do stóp tej ociosanej bryły kamiennej, która sama przez się nie byłaby niczem więcej, jak tylko „dziełem sztuki“, gdyby nie ukryty w nas pierwiastek uczuciowy, każący nam w pewnych momentach zapominać o „realnych“ walorach życia, a do potęgi, godnej kornego uwielbienia, podnosić wartości idealne.

Wyrazem tych „pewnych momentów“ najdobitniejszym i najtrwalszym była i jest u nas, jak i u innych narodów, literatura. Tylko, że pierwiastek uczuciowy, owijający się naokół tego, co Bismark określa u nas jako „politykę“, a co w naszym pojęciu jest tylko nie ugaszonym pragnieniem prawa swobodnego rozwoju na korzyść „przyszłego królestwa bożego“, odbierał tej naszej literaturze więcej, niż innej, cechy rzemieślniczej produkcji, owiewał ją czemś, co się w gotową nie da zamknąć formułkę, a co przywykliśmy nazywać natchnieniem. Wstydić się tego wyrazu nie potrzebujemy. U innych narodów tylko dzieła wyjątkowych jednostek twórczych przykuwają nas porywającą siłą uczucia, u nas i mniejsze talenty umiały dzięki właśnie żyzności się ich z ukrytymi czy jawnymi, poza złoty kołnierz ministra wychodzącymi pożądaniami duszy polskiej, nadać pismom swoim znamiona odrębne, znamiona, które odwiodły ich od „literatury“, a zbliżały ku emanacjom natchnionym.

I w tem też szukać wypada wytłumaczenia zjawiska, że piśmiennictwo polskie, choć wzorowało się na prądach zachodnich, nie było prawie nigdy zwykłą ich kopją.

Nowe hasła literackie, przychodzące do nas z Niemiec, Anglii i Francji, padały u nas zawsze na specjalny grunt uczuciowy. Nie sięgam daleko, gdyż nie piszę rozprawy literackiej, ale — aby się zbliżyć do czasów mickiewiczowskich — ani jeden z prawdziwych poetów epoki przejściowej nie zadowalał się gotowymi formułkami, ale formułki te przezwyciężywszy, kierował kroki swe ku rodzimym źródłom uczuciowym, wśród których przeważały motywy „polityczne”: żal za utraconą samodzielnością, przejmowanie się nieszczęściami narodu, budzenie nowych na przyszłość nadziei, budzenie, które w poezji naszej przybrało potem przedziwną woń kwiatu mesjanistycznego.

A kiedy pod wpływem teoryj romantycznych zaczęto dla zmożonej klasycyzmem poezji odżywczego szukać ciepła w motywach gminnych, u nas hasło to zespalało się niebawem z myślą społeczno-patriotyczną: wskazywano na lud nie jako dostawcę świeżych motywów poetyckich, ale jako na nieznaną dotychczas, tajemniczy, zbawczy czynnik w całości kształcie życia narodowego.

Ten charakterystyczny rys miał też stworzyć poezję, wśród ogólnego dorobku międzynarodowego niemal wyjątkową, poezję, nie posługującą się pewnemi, przemijającemi hasłami patriotycznymi czy wolnościowymi, jak to widzimy np. w Niemczech, ale skupiającą w sobie wszystkie właściwości polskiej duszy zbiorowej, poezję, która tej duszy potężną, głęboką stała się syntezą. Jeżeli zaś uprzytomnimy sobie, że syntezę tę zakłęła we wszystkie najcudowniejsze barwy i dźwięki i linje, we wszystkie środki, jakimi rozporządza twórcza zdolność człowieka, to z dumą powiedzieć możemy sobie, iż jest w nas coś, co nas uprawnia do stawiania poezji tej posągów trwalszych od spiżu i granitu, do zdobycia szacunku dla niej i czci w całym ucywilizowanym świecie, do

zdobycia jej uwielbienia, któremu towarzyszyć ma okrzyk: Oto jest twórczość, godna ludu wolnego.

Szacunek i cześć dla poezji naszej u cudzoziemców nie są tak powszechne, jak na to zasługuje; przyczyny szukać trzeba w naszym położeniu politycznem. Mimo to jednak, nie brakło głosów poważnych, przyznających właśnie pieśni mickiewiczaowskiej jedno z miejsc naczelnych w ogólnym dorobku twórczym ludzkości. Nazwano go pierwszym poetą wieku, który wszystkie tego wieku znamiona, wszystkie jego dążenia, prądy, troski i nadzieje w swojej twórczości skupił i pod względem środków, jakimi rozporządza poetyckie słowo, w genialny odzwierciedlił sposób.

Ale w tej chwili sąd ten jest nam obojętny — mamy poczucie radości, że dusza polska, wodzona na manowce, kuszona, odchodząca niejednokrotnie od celów właściwych, idealnych, to znaczy wybiegających poza kromkę powszedniego chleba, nie zatraciła w ciężkiej walce o najpierwotniejsze warunki istnienia swych cech wrodzonych, swej zdolności do wielkiej ekspansji twórczej, albowiem żywym świadectwem tego są nietylko nieśmiertelne dzieła jej natchnionych poetów, ale i cześć, którą przenikającemu twórczość naszą duchowi, świadomie czy instynktownie składa dzisiaj naród u stóp posągu — najpełniejszego wyobraziciela tego ducha — Mickiewicza.

O TEOFILU LENARTOWICZU

I.

LIRNIK MAZOWIECKI

1.

Dla twojej sieroty

Nie miecz skrwawiony, nie laur złoty,
Nie kij pastuszy, nie sieć rybacka,
Jeno uboga skrzypka tułacka.
W odwiecznej księdze ona wryta,
Cieniem żałobnym cała pokryta,
A na niej będzie pod niebem brzmiała
Wiernego ludu cicha pochwała.
Samotny pójdzie smętną doliną,
Dni jego łzami, pieśniami spłyną.

.
Niechaj mu serce w boleściach rośnie,
Niech mu na oczy w cichem uśpieniu
Przychodzą męże w stałym odzieniu,
Niewiasty święte w śnieżnej bieleźnie,
Wszystko, co wielkie w jego ojczyźnie,
I niech mu czasem w noc lazuruw
Twoje oblicze błysnie, Królowo!...

Kilka jeszcze dni przed śmiercią, która nastąpiła prawie nagle, marzył sędziwy, siedmdziesięcioletni starzec o powrocie do ojczystej ziemi. Dzięki smutnym stosunkom zakordonowym

nie mógł się on wprawdzie spodziewać, że stopa jego z lubością grzęznąć będzie po mazowieckich piaskach, że odwiedzi Warszawę, miasto rodzinne, któremu z pod błękitów Italji serdeczne słał pozdrowienia, Warszawę, na której imię, choć mu „przygody i lata włos odwiały z głowy, choć zmarszczki szerokie piętrzyły się na jego czole, choć mu doli ponury szumił wicher, dusza była gorętszą“, niż kiedykolwiek, tę Warszawę, „matkę jego i matkę ludową, ruchomą, a wciąż jedną, jak wiślane łoże“.

Natchniony autor „Bitwy Racławickiej“ żadnych pod tym względem nie posiadał iluzyj. Chciał on przynajmniej tutaj, w naszej dzielnicy, ojczystego zaczerpnąć powietrza, chciał we Lwowie i Krakowie uścisnąć prawice wielbicieli i przyjaciół, którym do końca żywe zachował uczucie; chciał odwiedzić mogiły tych, którzy mu niegdyś druhowali, a po których została pamięć, w kamiennym wyciosana grobowcu, w nieumierającej zamknięta pieśni. Chciał on wreszcie po długiej tułaczce, „w której dusza biedna tak się miotła, jak zwierz ułowiony w sieci, w której oko odwraca się od wesela, choć to wesele z wiosennych płynie kwiatów, ścielących się pod stopy wędrowca“, złożyć znękanę kości swoje pomiędzy swoimi; chciał, aby mu zadzwonił „dziadek siwowłoso, a skowronek, ażeby pod jego głazem uwiął swe gniazdko i, gdy powiew wiosenny wzbudzi kwiatów roje, wybieżał nad dolinę, jak myśli jego“, w melodyjny dźwięk ujęte.

Chciał i wierzył, że tak będzie, ale wiara i nadzieje nie spełniły się niestety! Wielbiciele mazowieckiego lirnika, którym los nie pozwolił go zobaczyć w Florencji, nie doczekali się upragnionej godziny, aby dotknąć się ręki, która i pióro i rylec rzeźbiarski na chwałę skolataną dzierżyła ojczyzny. Jedno się tylko spełniło: Ziemia rodzinna, która nie mogła dać przytułku żywemu, otwiera swe wnętrze dla umarłego. Nie ułożą

wprawdzie zwłok kmiecego pieśniarza na wiejskim uroczysku, ale wśród rytmicznych, poważnych dźwięków starego Zygmunta, który niedawno swem sercem brązowym witał króla pieśni naszej, poniosą go na Skałkę, na miejsce według panujących wyobrażeń zaszczytniejsze, do grobów tych mężów, którzy się dobrze na ojczystej zasłużyli glebie.

Z chwilą śmierci, która nastąpiła we Florencji dnia 3. lutego 1893, skończył Lenartowicz lat 70. Długi to wiek i do popierania publicznego dobra nie jedną nastroczający sposobność.

Spółeczeństwo nasze posiadało zawsze liczny zastęp ludzi, którzy dni swojego żywota zamieniali w nieprzerwany łańcuch trudów, nie dla własnej ponoszonych ambicji lub kieszeni, którzy za wdychanie ojczystego powietrza płacili sówicie i potem i krwią i łzą niejedną, którzy z zaparciem, nie ustępującem abnegacji pierwszych chrześcijan, biegli na szaniec ciężkiej, narodowej pracy.

Do zastępu tego należał i mistrz Teofil, od najranniejszej życia doby służąc ojczyźnie czem mógł najkorzystniej — plonnem wyzyskiwaniem każdej do działania sposobności, objawiającej mu się w postaci poetyckiego natchnienia.

A mógł Lenartowicz powiedzieć o sobie, że praca jego nie idzie na marne, mógł wierzyć, że pieśnią przysparza cegieł do wzniesienia gmachu lepszej przyszłości. W czasie bowiem, gdy z lutni swojej najdźwięczniejsze wydobywał akordy, naród polski nie był jeszcze do tego stopnia zbałamucony fałszywie pojmowanemi hasłami filozofji materialistycznej i wypływającej z niej etyki, ażeby do łona swego zabraniał przystępu tym uczuciom i tym myślom, które nie zamykają się w czterech ścianach kantoru, którym nie towarzyszy brzęk wyliczanego złota lub szelest sortowanych banknotów. Wówczas jeszcze „przekupnie nie zakładali swoich kramów w miejscu, gdzie krew męczeńska płynęła strugami“; wówczas

wierzono jeszcze, że pieśń to czyn, więc ją kochano i czczono jako Zbawicielkę, zbliżając się do niej, jak ongi chromi, ślepi i trędowaci zbliżali się do cudownego źródła w Siloe, ażeby z kąpeli tej wyjść uzdrowionymi, ażeby utracone odzyskać siły.

Pieśń stawiała się czynem, a na jej odgłos

„Rolnik porzucił zacisze spokojne,
Sвій domek cichy i pobiegł na wojnę.
Biedny robotnik nie bacząc na dzieci,
Obnaża piersi i do bitwy leci —“

A choć

„Upadły strzały i cisza się stała,“

choć

„Słońce wyblęśło na milczące ciała
I krew poległych przyschła na kamieniach,
Jak sprawiedliwość w zwycięzców sumieniach“,

choć

„Na wszystkich padła długa troska błada,“

to przecież wierzone, że „ten czujny zóraw, ta słowiańska lira“ będzie zwiastunką chwili, w której „pogodą, swobodą pokraśnieje świat cichy“, w której „z Krakowa po Kijów, od Skadry do Nitry będzie tylko Bóg na niebie i człowiek przy pracy.“

* * *

Teofil Lenartowicz urodził się w Warszawie 27. lutego 1822 r., a więc w czasie, w którym twórca „Ballad i Roman-sów“ poezji klasycznej zawziętą wypowiedział walkę, stwa-rzając równocześnie potężne podwaliny nowej pieśni.

Rodzice „mazowieckiego lirnika“ pochodzili z Litwy, z Gro-

dzińskiego, a właściwe nazwisko ojca miało być Kierzgajłło. Ile w tem prawdy, nie wiadomo; Lenartowicz sam, oprócz wieści, zasłyszanej od przyjaciół wcześniej zmarłego ojca, bliższych w tej mierze szczegółów nie posiadał. (List do Edwarda Pawłowicza). Jest to zresztą moment dosyć obojętny, na charakter bowiem twórczości jego nie wpłynął.

O kierunku poezji autora „Lirenki“ zadecydowała wieś mazowiecka, w której chował się od pierwszych zaraz dni swej młodości, a do której przez cały długi swój żywot tęsknić nie przestawał.

Rodzice, ludzie niezamożni, wyższego wykształcenia synowi dać nie mogli; nie pobierał on nawet właściwych nauk gimnazjalnych, a cała jego edukacja zamknęła się w szkole powiatowej. Zmuszony od najwcześniejszych lat zarabiać na chleb powszedni, przyjął Lenartowicz już w czternastym roku życia miejsce dependenta u jednego z adwokatów warszawskich, a wkrótce potem wstąpił na drogę kariery rządowej, aplikując się przy byłym sądzie najwyższej instancji, gdzie doczekał się posady kancelisty. W urzędzie szło mu dość gładko; po utworzeniu senatu warszawskiego został nawet pomocnikiem referenta dla spraw cywilnych w komisji sprawiedliwości z dobrą stosunkowo płacą 1.800 zł. polskich rocznie.

Nie długo jednak w obranym wytrwał zawodzie. Wrażliwa dusza jego w inną stronę zaczęła zwracać swe oczy: skromny kancelista zapragnął wawrzynów, które w udziale dostają się prawdziwym wybrańcom losu. Pomimo niedostatecznych środków naukowych zaczął Lenartowicz pojmywać wrzące naokoło niego życie literackie, a jedynem jego wówczas marzeniem było zdobyć sobie taki zasób wiedzy, któryby mu pozwolił stanąć w szeregach umysłów, będących chlubą i pożytkiem społeczeństwa. Rozpoczął uzupełniać braki wykształcenia, a dopomogli mu w tym względzie ludzie dobrej woli

śródm których naczelne zajął w tym razie miejsce Wojcicki. Pracując obok biura Lenartowicza, w archiwum senatu, spostrzegł on w dziewiętnastoletnim młodzieńcu niezwykle do nauki, a przede wszystkim do poezji zapal i wziął się do dostarczania potrzebnych mu książek. Zbiory klechd i pieśni ludowych, pisma Jana Kochanowskiego i biblja pierwsze i najbardziej wpływowe pomiędzy niemi zajęły stanowisko.

Wczytywał się w książki te Lenartowicz, a w miarę głębszego z niemi obcowania, rósł w nim ten popęd, który kazał mu otrząsnąć szary proch biurowego żywota, a rzucić się w promieniejące tęczowymi blaskami natchnienia fale poezji. Miały spełnić się one wyroki, które nad niemowlęciem wyszeptali w chwili jego narodzin święci niebiescy, „o ludzką nędzę wielce troskliwy staruszek Mikołaj i Piotr, rybitwa boży, ułowione przez siebie rybki złote przed Panem na srebrnym składający stole“. W odwiecznej księdze przeznaczeń stała dla niego uboga skrzypka tułacza, żalobnym cieniem pokryta, a na niej miała pod niebo rozbrzmiewać wiernego ludu pochwała. Samotny miał on smętną pójść doliną, a dni jego miały spłynąć pieśniami.

Tak było napisane w wyrokach i tak się też stało.

2.

...pieśń ta długa
Na to się tam w polu rodzi.
Na co gwiazda z nieba mruga,
Na co anioł z nieba schodzi,
Żeby w ludzkie łązy tęsknoty
Zapleść promień słońca złoty.
Gdzie się czoła we krwi nużą,
Poprzewijać ciernie różą.

Gdzież bo pieśń ta nie przecieczę?
Z łańcuchem się u nóg wlecze,
Po sybirskich stąpa śniegach,
Po Kubaniu modrych brzegach,
Jak cień w kraju gdzieś dalekim,
Ciągnie się za polskim człkiem

.

Pieśni wiejskie dziewcząt sprawa,
To ich szczęście i zabawa.
Różne dziwy plotą plotki,
Kręcąc swoje kołowrotki.
A na duszę pieśń dziewczęca,
Jak nić złota się okręca.

.

Co ja z niemi się naszłochał,
Co ja z niemi się nakochał...
Niech Bóg broni i zachowa,
Pełna tego była głowa.

Czas, w którym Lenartowicz drukował pierwsze płody swej muzy, należy w dziejach literatury naszej do najgorętszych. Posiew haseł romantycznych, rzucony przez Mickiewicza przed laty mniej więcej dwudziestu, wspaniale wydał owoce. Tak zwani klasycy, wyobraziciele poezji skostniałej, sztucznej, akademickiej, zażegnujący się od prawdy, jak od złego ducha, umilkli zupełnie, a na ich miejscu stanęli ludzie nowi, za rękę wiodąc muzę w postaci dziewczicy, nieraz rozczochranej i niedbale okrytej, ale swojskiej, tryskającej zdrowymi rumieńcami prawdziwego życia. Zdarzało się wprawdzie, że i na jej obliczu ukazał się pretensjonalny grymas jakiś, że i ona od czasu do czasu mrużyła sentymentalnie rozblękitnione źrenice, jak to nieraz u wiejskich spotykamy

dziewuch, które, posługując w mieście, podpatrzyły wyfiorowane swe panie. Grymas ten jednak ustępował rychło naturalnemu wyrazowi, powieki podniosły się rychło do góry, ażeby oko szczerą zaiskrzyło się radością, aby nieudanym powlokło się smutkiem, aby prawdziwym błysnęło zachwytem lub rzetelnym zapłomieniało gniewem.

Bywa to właściwością charakterów młodzieńczych, niewyrobionych, że łatwiej znajduje u nich grunt podatny sztuka niż prawda. W „dojrzałym rozkwicie wdzięków“ znajdująca się kobietka większe wywiera wrażenie na gołowąsego studenta, łatwiej pochwyci go w swoje sidła, aniżeli skromny pączek lilji. To samo da się powiedzieć i o ówczesnym Lenartowiczu — nie co się tyczy wrażeń, jakie na niego wywierały odmiany „płci nadobnej“, bo o tem żadnych nie posiadamy szczegółów, ale co się tyczy wpływu, jakiemu uległ w obcowaniu z poezją romantyczną i jej przedstawicielami. „Miej serce i patrzaj w serce!“ oto w lapidarnych rzutach najwyraźniejszy kontur nowej poezji. Atoli człowiek serca niekoniecznie ma być pozbawiony rozumu. Tymczasem bywało i tak, że zwolennicy „antyklasycznego“ kierunku, przepisawszy z katechizmu Mickiewiczowskiego na sztandarze swoim wielkie hasło „serce“, niejednokrotnie przeczyli prawom zdrowego rozumu. Głosili więc, że prawdą być może tylko ostrołukowa z ziemi wystrzelająca katedra gotycka, a zaś kłamstwem jest styllobat spokojnej świątyni helleńskiej; prawdą nazywali symetrii pozbawione kształty powalonych zamczysków, oblanych tajemniczem światłem księżyca, a zaś jej przeczeniem promieniejące w słońcu szczyty regularnie zbudowanych fabryk; prawdą była dla nich noc miesięczna, przedłużająca kontury drzew i szczyty wież, napelniona niewidzialnemi postaciami topielic, biegunek i chochlików, a zaś kłamstwem gorący dzień słoneczny, rozbrzmiewający pieśnią

skrzętnych żniwiarzy, rykiem pasącego się bydła, rżeniem hasających koni. W dalszem następstwie bywało tak, że uznawano za prawdę owe wybladłe, długowłose, o niebieskich migdałach marzące stworzenia, które ludzi przypominały chyba tylko w najogólniejszych zarysach, że nareszcie prawdą były uczucia nienaturalne, nie dające się ująć w ramy pragnień i dążeń nieco realniejszych, uchwytnych zdrowemu sercu i zdrowemu rozumowi. Ta, zapewne mniej sympatyczna strona tzw. romantyzmu, pociągająca atoli istoty przedrażnione, neuropatyczne, odurzającą atmosferą dowolności, przykuła na chwilę i Lenartowicza do siebie. Pierwszy jego wiersz, drukowany w „Nadwiślaninie“, posiada właśnie jeden z takich zwyrodniałych przymiotów nowego kierunku, mianowicie sztuczność, sentymentalne wykrygowanie uczucia. Miniaturowy Byron, rozczerował się młody poeta do świata, choć go wcale jeszcze nie poznał; pełen „bezbrzeżnego“ smutku — Weltschmerzem w dziejach powszechnego piśmiennictwa zwanego, — wzdycha do miłości bez końca.

Wobec tego, że w tym duchu pojawiały się nieomal codziennie daleko lepsze pod względem artystycznym utwory, wiersz Lenartowicza wrażenia nie wywarł. Jeden atoli dobry miał skutek: otworzył mu bramy wyrastających jak grzyby po deszczu czasopism. Plody niedojrzałej jeszcze muzy zaczęły mniej lub więcej grymaśnie przemawiać do niebardzo zachwyconych czytelników z oficyn „Przeglądu naukowego“, „Nadwiślanina“, „Jaskółki“, „Biblioteki warszawskiej“. Szerszą uwagę zwrócił na siebie Lenartowicz dopiero w r. 1844 apostrofą do poezji, drukowaną w „Bibliotece warszawskiej“. Ale i ten utwór nie odzwierciedla jeszcze właściwości dźwięków wslawionej w późniejszym czasie lirenki, z mazowieckiego wystruganej drzewa. Wygląda on raczej na opracowanie zadanego tematu, a nie odznacza się ani siłą uczucia ani świe-

nością obrazowania. Konwencjonalizm zarówno w formie jak w treści. Posiada w sobie coś z ody horacjuszowskiej, albo też z kanzon owych akademików florenckich, którzy umieli wprowadzić podśluchać uczuciem tryskające ryspetto i strambotty tokańskiego ludu, ale w których misternie rzeźbionej, kryształowej formie, uczucie to tężało w regularne a zimne kryształki.

Przedmiot sam, „Poezja“, pomimo swej abstrakcyjności, nadaje się do ujęcia go w kształty uchwytnie. Można na jego cześć wyśpiewać hymn natchniony, jak to uczynił Mickiewicz w „Wallenrodzie“ z ową „arką przymierza“, pieśnią gminną, i jak to sam Lenartowicz w późniejszym wieku odnośnie do tejże pieśni ludowej pokazał. Wzmiankowany powyżej wiersz jest w rzeczywistości — wierszem, a należy do tej samej kategorii, do której zaliczyć się dadzą owe epitalamja, urzędowe trenodje i aż do zbytku otrzaskane „pochwaly“ wieku siedemnastego.

Trzy szczególne cechy dostrzega autor w „Poezji“ — te mianowicie, że jest „matką“, „wiarą“ i „prawdą narodów“. Trójcy tej użył on też jako punktów wytycznych, około których obraca się jego ściśle odważona, wyrozumowana „pochwała“, podobna do płomienia, wykutego w kamieniu. Poezja jest matką narodów i jako taka ukazawszy im się z mieczem i w zbroicy hartownej, rozwiawszy na wiatr swój sztandar śnieżny, roznieca w sercach zapal szalony, pchając rycerzy do boju. Gdy w zapasach upadnie bohater, wtedy schodzi ona ku niemu i składa mu wieniec chwały na głowę, aby śmierć miał wesolą. Zimne duchy zapaliwszy ogniem, obala tłumy niezwyciężone i ludy zbawia cudem. Poezja męczennikom stawia przed oczy obrazy lepszego świata, obrazy boskich krain weselnych, za męczarnie życia światłość bez końca i dla tego jest wiarą narodów. W charakterze zaś prawdy

narodów rzuca swoje spojrzenie na wybrańców, że świecą na wieki, wiąże dłońmi szermierzy w czas ślubnych świata obchodów a ich duchy stawia w ołtarzu.

Ze streszczenia tego widać, że środki, jakich autor używa, zapożyczone są z arsenału poezji pseudoklasycznej, a składają się na całość, pomimo pozorów gorącego uczucia, skostniałą.

Ujemne to wrażenie potęgują jeszcze epiteta, nadawane opiewanemu przedmiotowi. Poezja jest więc córką słońca, białoramienną dziewczicą, odzianą w szaty anioła, albo jak Bellona czy Pallas Athene, w hartowną zakuta zbroję.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad tym utworem z trzech przyczyn: po pierwsze, że rodzicowi swemu pewien zyskał rozgłos, co świadczy o nieustalonym jeszcze smaku ówczesnych redaktorów i szerszej publiczności; po drugie, że i Lenartowicz w owym czasie nie miał ugruntowanych pojęć artystycznych, bo gdy w pierwszym wierszu jego drgały przeciągnięte struny spaczzonego romantyzmu, to tutaj zaliczyć go należało raczej do klasyków; po trzecie, i to przede wszystkim, że nie posiada ani jednej z tych cech, które wkrótce potem, jak gdyby cudem, wystąpiły w całym uroku przedziwnej, żywicznej wonią swojskiej atmosfery oddychającej „Lirenki“. Elaborat ów nie był wypływem żywego natchnienia, bezpośredniego obcowania z temi przemagającymi żywiołami, które stworzyły prawdziwą jego poezję, obcowania z ludem i otaczającą go przyrodą, ale raczej świadectwem zainteresowania się nieprzebrzmiałemi jeszcze wówczas echemi walk literackich, szukania drogi ujścia swojemu dla pracy twórczej zapałowi.

Wrażenia pierwszych lat, spędzonych na wsi, nie odezwały się jeszcze, nie zaczęły się jeszcze domagać ujęcia ich w ramy artyzmu.

Miało to jednak nastąpić niebawem.

Jedną z największych zasług romantyzmu było obudzenie potrzeby zapoznania się ze skarbami, drzemiącymi w nieznanem dotychczas, dla klas inteligentnych nieomal tajemniczem łonie życia ludowego. Chodakowski zrobił początek, a za nim poszedł szereg innych, rozkopujących dawne grodziszcza, zbierających podania i pieśni pogardzonego gminu. Drogie kamienie, wydobyte z ziemi ojczystej, szlifowali najrozmaitsi poeci, nizając z nich przepyszny różaniec, który nie uczyniłby wstydu przebogatemu skarbcowi legendowego Ali-Baby. Kult poetyckich pierwiastków rodzimych wrzał naokoło Lenartowicza, a książki, dane mu przez autora „Klehd starożytnych“ — pieśni ludu, Kochanowski oraz biblja, która w tłumaczeniu Wujka stała się najzupełniejszą własnością narodu, zrobiły swoje. Wczytując się w te niewyczerpane źródła prawdziwej poezji, odkrył on właściwą stronę swego talentu i począł odświeżać zaznane za lat dziecięcych wrażenia, gromadzić nowe i porządkować, aby, zamknawszy je w formę artystyczną, zadziwić nimi rodaków.

Czynił więc wycieczki w okolice Warszawy, bujał okiem po szerokich polach, któremi modra Wisła płynie; włóczył się po lasach sosnowych, okalających brzegi Narwi i Bugu, zaglądał na nowo do chałup chłopskich, które był przed kilkunastu laty opuścił. I nie było przedmiotu w tem państwie swojskiej przyrody, któryby nie więził jego zmysłów, któryby nie przeszedł potem do jego pieśni. Stary dąb, zgarbiony nad wodą, niewiasty, bielące płótno na brzegach, bociany, spacerujące po łąkach, obłoki, jak „runo słońcem przeciekle“, przesuwające się po niebie; rybitwy i kuliki, kołujące nad błękitami rozniebieszczonej królowej rzek polskich; łodzie flisowskie jak cyranki szare, a za nimi tratwy i galary, pszenicą ładowne, płynące po falach śród szumu wiosel i krzyków i śmiechu; zawodząca nuta wiejskiej dziewczyny, lecąca po

rosą zlaných dolinach, woń żywicy z borów pobliskich, brzęk pszczoły, echa pastuszych ligawek, lub dzwonka, dolatującego z wiejskich kościółków, pieśń skowronczana, kukanie kukułki i gwizd wilgi — oto żywioły, które nieprzepartą ujarzmiły go siłą i stworzyły na wskrós oryginalną, niebywałą dotychczas poezję.

Na nowo zaglądał on do zapadłych kątów, pomiędzy Kurpie, do tych puszczy, gdzie w dniach dzieciństwa, „rzeżki jak żrebie stajenne“, pływał po rzece błękitnej; gdzie znajoma mu była każda ścieżka; gdzie z parobkami konie nocną pasał dołą, gdzie z nimi wytańcowywał się po karczmach; gdzie lud — same święte Marki i święte Anny — żyje boskim cudem, „jak po zimie się odradza i zawsze wiernym jest Polsce“; gdzie pieśń, towarzysząca żołnierzowi w Sybir gnanemu, lecz rany serca; gdzie „wciąż tylko mógł coś przybywa, gdzie lza upada i zasycha“.

A dziwna to pieśń, która nad temi unosi się mogiłami.

Słuchając jej, wykąpanej w rosie, świeżej, jak ten zagon z rana, rośnie dusza, gdyby ziele, i tak się rozradowuje, że zdaje się człowiekowi, jak gdyby ta ziemia, po której łąnach pieśń ta, niewiadomo, jak leci, była krainą, płynącą mlekiem i miodem, a przecież na niej „tyle jest krwi i tyle jest łez, że ludzie brodzą w nich aż do kolan“.

Nie wiadomo, jak pieśń ta leci i skąd się bierze! Czy fruwa jak ptaszę ponad stawem, czy mknie, jak głos ginący w przestworzu, czy sunie, jak obłok ponad dolinami: dość, że zabrząknawszy dzisiaj na Podolu, wdzieczy się jutro nad Dunajem, klaszcze w borze mazowieckim albo pnie się po karpackich górach. Nikt przed nią nie ustrzeże swych progów, dojdzie ona do najdalszych braci. Za dnia, jak skowronek, ulatuje ponad zagonami, rwąc duszę ze sobą, a gdy zgaśnie słońko boże, chwilkę się jeszcze na pagórkach i wodach pożali.

a potem spadnie na smugi i schroni się do chałup, pomiędzy dziewczęta, siedzące przy kołowrotku. Tutaj w długie wieczory i noce błyszczy im jako gwiazda albo otacza je zmrokiem smutku, tańczy z szczęśliwymi, ze smutnymi smuci się albo otuchę im wlewa. Tutaj melodyjnym językiem niesłychane opowiada im dziwy — o tej pani, co zabiła pana i aby zatrzeć ślady swej zbrodni, zasiała na grobie rutkę i lilję, ale krew ludzka woła o zemstę: rutka i lilja zdradzają przewinę. Tutaj przywodzi im na pamięć oną wierzbę, co wydała siostrę niedobrą: będzie ona słodkie piła winko, śmiać się będzie do rozpuku, ale głos fujarki, wykręconej z owej wierzby, zagłuszy jej śmiech, zakłóci gody weselne. „Starsza siostra mnie zabiła“ — nuci ligawka i włosy staną na głowie panny młodej, a lica družek bladeść pokryje — rozpierzchną się, a za nimi plynie smętny jęk fujarki: „Starsza siostra mnie zabiła! smutku wiele! bardzo wiele!...“ Albo pieśń ta dawne opowie im dzieje o krwawej koszuli dzieciobójkzynie, albo o tym koniu siwym, co na grobie swego pana, poległego w ciężkim boju, nóżką grzebie i żałuje i żałuje... I tak w kolej aż do zorzy...

Póki oczu sen nie zmorzy,
Wciąż się pieśń przewija słodka,
Jak to kółko kołowrotka...

Nasłuchał się jej poeta na Mazowszu i na Kurpiach; tutaj też świadom, czego naród pragnie, nieraz ogniem zapłonął; tutaj też płaczki-wierzby dały mu „na jęk długi po ojczyźnie“ gałąź na fujarę...

Niedługo miał tę pieśń rodzimą usłyszeć i w innych ojczyzny naszej dzielnicach — w Poznańskim i Galicji.

Warszawę opuścił w roku 1848 i udał się nad Gopło, do gniazda orłów piastowskich, gdzie przed wrażliwą duszą poety

nowe stanęły obrazy : legendowe dzieje Popielów, patryarchalny Piast, na postrzyżynach jedynaka ugaszczający posłów bożych; zaślubiny Mieclawa z dziewanną pól czeskich, Dąbrówką; chrzest narodu, burzenie świątnic Lelowych, krwawe zapasy z Niemcami.

Strony nadgoplańskie, które Słowackiemu posłużyły za tło do Balladyny i Lilli Wenedy, sennie, a urodzajne równiny, pozbawione lasów, gdzie po kilka mil, wszerek i wzdłuż, oko swobodnie hulać nie może, koncentrując żreniczne promienie na starej wieży kruszwickiej, tym dzisiaj jeszcze potężnym kolosie, sterczącym na wyspie, oblanej zwierciadlanymi falami historycznego jeziora, niezwykle na nim, a błogie wywarły wrażenie. Wsi okoliczne, owiane ciemną powłoką zamierzchłych podań: Mątwy nad rzeką tegoż nazwiska, Krusze, Tupadły, Ludziska, Przedbojowice, Kościelec z ich polami, na których liczne posiano mogiły, gdzie dzisiaj jeszcze co krok wyorują kości i resztki broni, stawiały mu żywo przed oczy przeszłość zamierzchlą, w której krew maciła się z wodą, w której kruszyły się miecze na karkach nieprzyjaciół, w której niejedne tu padły zastępy; przywiodły mu późniejsze walki z Krzyżakiem i Szwedem, oraz bratobójcze zatargi dumnego z królem magnata.

Echa tych prastarych, ossjanowskich — możnaby powiedzieć — melodyj odbiły się nie jeden raz w jego lirze a echa te ze wspólnego płynęły źródła, z pieśni i podań gminnych, których wrażenie spotęgowaniem zostało bezpośrednio zeknięciem się z miejscami ich narodzin.

Zmuszony opuścić Wielkopolskę, zwrócił kroki swoje do Galicji, i tutaj, we Lwowie i Krakowie, zapoznał się z zastępem literatów i poetów, a zapoznał się serdecznie, tęskniąc ku nim z obczyzny, gdy pod włoskiem podróżny tłumok złożył niebem.

„Miły Boże! gdybyżem ja to znalazł się kiedy pomiędzy wami“ — pisał w jednym ze swych listów — „ażebyśmy to jeszcze wolni gdzie w Karpatach się zeszli, ilu nas jest śpiewaków, tożbyśmy nowemu słońcu Polski śliczną sobótkę zapalili. Kornel (Ujejski) uderzałby w struny, jak druida, ślepy Karol (Szajnocha) opowiadałby przeszłość, a od Goralczyków i Polan stary Bohdan (Zaleski), stary Wincenty (Pol), bo i jego byśmy wzięli, Goszczyński i Szujski i Ty (Starkel Juljusz) i ja potrochu i Gustaw Ehrenberg i Paygert i Brzozowscy i Norwid Cyprjanek, każdyby coś zaśpiewał i tak by noc zeszła gdzie na szczytach Krywania, z kądem królów widać i stare przesławne grody, a potem usypalibyśmy mogiłę umarłej braci śpiewaczej, wysoką, piękną, na wieczną chwałę wiernym Ojczyzny synom. Hej marzenia! marzenia! aż do grobowej deski“!

3.

Już słońeczko powstało,
 I przegląda się w rzece:
 Oj na rosę, na białą,
 Polecęz ja, polecę!
 Jak to z brzozy płaczącej,
 Co wyrosła nad rzeką,
 Krople rosy świecącej
 Zwieszają się i cieką.
 Jakie jasne obłoki
 Na niebieskim przestworze,
 Jakie czyste potoki!
 O mój Boże! mój Boże!...

 Już południe, słyhać dzwonki,

Stary pastuch spędza z łąki,
To pawłowa — to graniata,
Co kołatką tak kołata,
A to nasza krówka goni,
Co jej dzwonek cienko dzwoni.
I od gaja aż do gaja
Rozlega się ryk buhaja.

.
Szumią lasy! hej lasy!
Aż w karczemce grzmiały basy.
A kiedy pić, to piją,
Kiedy skaczą, to skaczą,
A jak płakać, to płaczą,
A jak bić to biją...
To już u nich tak idzie,
Na półsłówka nic niema,
A pocierpieć jak przyjdzie,
To i to się wytrzyma...

Na niwie tak przygotowanej, w epoce, którą zamknęliśmy, poprzednim rozdziałem t. j. w czasie wędrówek Lenartowicza po kraju aż do zawitania do Belgji i Paryża (o czem w dalszym wspomnimy ciągu) zaczęły wyrastać te zioła, które śpiewakowi odrazu głośne wyrobiły nazwisko. Przyjmowano je z zapalem a sprawozdawcy dziennikarscy nazywali je niejednokrotnie „arcydziełami literatury naszej i nie naszej nawet, bo w nich jest ta biała korona sztuki, która im łatwiej wygląda w formie, tem trudniejszą jest w istocie. Inni przesyceni mesjanicznymi i tytanicznymi plodami ówczesnej literatury naszej odetchnęli swobodniej, słuchając tego czystego i prostego głosu natury. Nietylko Warszawa, ale i kraj cały czytał je z uwielbieniem. Około 1854—7 roku prawie zapom-

niano o wszystkich innych poetach, przenosząc nad nimi Lenartowicza, sam nawet Mickiewicz w swojej pomnikowej wielkości jakby usunął się na stronę i spokojny o swą przyszłość, słuchał, jak Lenartowicza nazywano pierwszym poetą!“ (Tyg. Ill. 1861).

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zapał ten był przesadzony, że lirnik mazowiecki nie mógł iść w zawody nie tylko z żadnym z owej wielkiej trójcy, ale że inni, współcześni mu poeci mniejszej miary niż piewca „Dziadów“, twórca „Irydiona“ lub śpiewak „Anhellego“, poeci jak np. Goszczyński Seweryn lub jego antypoda, Syrokomla, umieli w tej wspólniejszej duchowej szermierce szczęśliwie dotrzymać mu placu a pod pewnym względem nawet go prześcignąć. Pomimo właściwej mu wrażliwości, pomimo ambicji, ażeby nie być ostatnim pomiędzy dzierzącymi lutnię, pomimo wrażliwości, która w stosunku do czytającego ogółu przeradzała się czasami w sarkazm lekki, nie rościł sobie Lenartowicz żadnych praw do tego, ażeby naród w Westminsterze swych duchów stawiał go w jednej kaplicy i na równie wysokim piedestale razem z Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim. Poznanie się z Adamem w Paryżu nazywa szczęściem dla siebie, a gdy w burzącym się kotle partyjnych zawiści — czemu się nie dziwić, bo społeczeństwa tak skolatane jak nasze, nie zawsze zdolne są w ciągłej wyczerpującej sile walce o najelementarniejsze podstawy życia odpowiednią zachować miarę — otóż, gdy i u nas bryzgano „kroplami palącej trucizny na genjusze“ dla tego, że stali na odmiennym, niż to lub owo stronnictwo, politycznych zapatrywań biegunie, z piersi Lenartowicza wydobyły się słowa, przynoszące zaszczyt szlachetnej jego duszy:

„My żeglujemy na burzliwej wodzie,
Bez przewodnika, a jeśli los zdarzy

Wodza, to w buncie przepada żeglarzy,
Na męczenników jeden spoczął górze (Mont martre)
Na męczenników drugi legł padole,
A nieśmiertelne wieńce na ich czole
Anioł ojczysty pod pałace burze
Od zapomnienia strzeże i zawiści
I żaden z złotych nie opada liści.“

„Że taki a nie inny sąd miałem i mam o naszych wielkich poetach“ — pisze w liście do Henryka Rewakowicza (*Tydzień* nr. 9 b. r.), dowodem listy moje o Adamie Mickiewiczu i konferencji w uniwersytecie bolońskim, w których o jednym jak i o drugim (o Słowackim i Krasińskim) ze czcią się należą wyrażam“.

Był jeden tylko pieśniarz, z którym Lenartowicz rywalizować mógł na serjo, zwłaszcza, że z nim najwięcej posiadał punktów styecznych zarówno co do istoty poezji jak i metody ujmowania wrażeniowych jej pierwiastków w formę artystyczną — a tym pieśniarzem był, jak się łatwo czytelnicy domyślą, Bohdan Zaleski. Jak zaś dalece niewłaściwe w tej mierze autor „Lirenki“ miewał wyobrażenia, świadczy o tem fakt, przekazany nam w jednej z notatek Piotra Chmielowskiego („Złota Przędza“), że — przynajmniej za czasów swego pobytu w Warszawie, a więc w latach młodości, gdzie zarozumiałość choćby najbardziej posunięta byłaby najłatwiej do przebaczenia — bał się on najwięcej współzawodnictwa... Włodzimierza Wolskiego.

Jak powiedziano powyżej, zjawienie się utworów Lenartowicza, zawartych w „Szopce“, i „Lirence“ wreszcie, „Błogosławionej“ i „Zachwycenia“ witano z wielkim zapalem.

Autor sam, wędrujący po świecie, zdaje się, że nie wiele słyszał z tych apoteoz, w jednym bowiem z swych listów (do

dra Biegeleisena *Tydzień* nr. 7 z r. b.) z pewnym o „trjumfach“ swoich wyraża się przekąsem.

„...Jakież były moje triumfy“ — pisze Lenartowicz — „a prawda! trzy razy, w Krakowie w r. 1848, kiedy przedstawiono mój dramat p. t. *Wskrzeszenie* (zatracony przez amatorów, którzy go przedstawiali) i *Tyrteusza*, wiersz, recytowany na scenie krakowskiej...“

Drugi mój triumf, to chyba mowa na kopcu Kościuszki, a trzeci — entuzjazm studentów na uniwersytecie bolońskim: kiedym po trzeciej konferencji wychodził do auli, okna się trzęsły i ręce wyciągały do mnie, a krzyk ogłuszał: *evviva la Polonia!*...“

Atoli ostatni ten objaw uwielbienia nie uważany był przez Lenartowicza jako do jego skierowany osoby.

„Nie dla mnie“ — odpowiedział im śpiewak polski, — „ale dla tej, która szlachetne serca wasze, panowie, niezmierną boleścią porusza, przyjmuję wasze słowa, najniższy i najnieznaczniejszy pomiędzy swoimi“.

Przepraszamy za to małe zboczenie. Ostatni cytat charakteryzuje jednak skromność autora skromnych, ale prawdziwą, naturalną wonią tchnących kwiatów, zebranych na polskim łące, pomiędzy polskimi jęczmionem i żytami, pomiędzy polską ciężkokłosą pszenicą, którą zasiewa kміeć polski, którą polski kміeć wśród ciężkiego sprzęta znoju, którą w ciężkie wiąże snopy i zawozi do stodoły, niejednokrotnie nie swojej.

Najgłówniejszą cechą poezji Lenartowicza z tej doby jest naiwna prostota, właściwa pieśniom gminnym prostota, która miała pozostać mu już na zawsze, dalej niezwykła dźwięczność, muzyka, unikająca skrzętnie wszelkich dysonansów, przypominająca łagodny szum zbóż oraz „cichy szelest drzew w pogodny, lekkim powiewem wiatru oddychający jeden z ostatnich dni maja. Używszy języka z dziedziny sztuk pla-

stycznych, powiedzielibyśmy, że w pieśniach Lenartowicza nie ma nigdzie jaskrawych barw, że wszystkie one zlewają się w jeden głównie koloryt, mianowicie w koloryt naszego nieba przy końcu wiosny, błękitnego jak kwiat bławatu, tu i ówdzie upstrzonego białymi od refleksów słońca chmurkami.

Takie też niebo jest tłem jednostajnych nieco, ale dziwnie pociągających krajobrazów, wśród których weselą się lub smucą bohaterowie lub bohaterki — jeżeli takim mianem, wziętem z poezji koturnowej — nazwać można owe „wiochny“, owe „kapryśne“, owe „jagódki“, owe „mazury za wołami“, owe „sieroce pacholeta“, które wyszły ze serca poety, a z którymi się razem weselimy lub smucimy.

Weselą się lub smucą! Te dwie odmiany uczuciowości panującym są w pieśniach mazowieckiego lirnika żywiołem; dla afektów spotęgowanych, jak szal radosny, rozpacz lub gniew, nienawiść, zazdrość i t. p., nie ma w tych pieśniach żadnego prawie miejsca. Nawet nienawiść do wrogów ojczyzny, Moskali, o czem później, nie posiada nigdy tej siły wybuchowej, w jaką zbroili bohaterów swoich inni tej samej doby poeci.

Wszędzie i we wszystkim idylliczny niemal spokój. Ale wróćmy do krajobrazów.

Szmat ziemi, pokrytej łąką zieloną, wśród której pstrzą się kwiaty polne, staw błękitny lub wstęga rzeki, nad którą rozsiedły się wierzby albo jaki dąb żylasty, samotna grusza, ciemny las, chałupy słomą kryte, otoczone ogródkiem, kościółek wiejski wśród brzoź, lip lub wieńca topoli, krzaki olszyny lub głogu, oto czynniki, składające się na pejzaż Lenartowiczowski, czynniki, które powtarzają się w niezliczonych razach, w ugrupowaniu zawsze nader prostem, naiwnem, wśród atmosfery lekkiej, wysoce uwydatniającej perspektywiczne oddalenia. Oto n. p. krajobraz, przedstawiający wioskę:

Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciagną się słupy.

Przy jednej gruszka,
Lipa przy drugiej,
I tak tam drzemią
Po drodze długiej.

Zaraz poznacie,
Gdzie rażna dziewczka,
Bo przy tej chacie
Ogródek, drzewka.

W ogródku lilja
I mak czerwony,
Słonecznik żółty,
W słońce zwrócony.

Po drodze w dali
Bieli się piasek;
Krzyże nad drogą
I zaraz lasek.

Pod lasem woda
Po łące płynie,
Z szumem na koła
Spada przy młynie.

I dalej leci,
Snuje się, świeci —
To blaskiem słońca
To gwiazdy blaskiem,
Światłem miesiąca
I zorzy brzaskiem.

Inny:

Kościół za wioską
Z czerwonej cegły,
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły,
A na kościele
Bocian gniazdo ściele...

Jeszcze inny — pejzaż na schyłku lata:

Zorza na wschodzie
Złoci się w wodzie;
Noc księżycowa
Perłami rosi,
Mgła lazuruwa
Z wód się podnosi.

Szerokie pole,
Śpią chaty w dole,
Gwiazdy migocą,
W wodzie się złocą.

Tam brzoza biała
Włosy rozwiała;
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna cicha
W liściach wiatr wzdycha.

Albo taki przepyszny, wonią rozgrzanej ziemi oddychający
krajobraz wiosenny:

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocąc wybiegły z pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą jak kryształ rzeczulką,
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce
I słońko przygrzewa w poranek...

Krajobrazy te nie tylko żyją — blaskiem słońca, światłem
księżycy, migotaniem gwiazd, połyskiwaniem rosy, która od
zorzy brylantowe hierze ognie, pieśnią skowronka lub słowika,

kukaniem kukulki lub pogwizdem wywilgi, bębnieniem bąków, pluskiem ryb, kołowaniem jaskółek, szumem lasów i pól, barwami i zapachem ziół tysiącznych, ale pomiędzy temi wszystkimi żywiołami a postawionym wśród nich człowiekiem wewnętrzny istnieje związek, żyją one jego własnem życiem, cieszą się z nim, albo się smucą, śmieją albo płaczą, pomagają w pracy, albo owocami swemi darzą go za trudy. „Skowronek orze, a przepiórka pogania“, albo przypomina, wołając: „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“, że czas już zabrać się do żniwa. Śpiewa sobie dziewczyna, śpiewa sobie i las z nią razem, a gdy zdziwiona tym śpiewem i tem, że jej się drzewa kłaniają, dech powstrzyma, milkną z nią razem i brzozy. Borówka, ta mała czarna jagoda odzywa się do zbierającego dziewczęcia: „weź mnie, weź, bo ja świeża! zjedz mnie, zjedz, bo ja słodka“. a gdy chłopiec świeże skiby pługiem przewala, nuca mu kosy i wywilgi, aby raźniej szła mu robota. Narodziny dziecka zwiastuje słowik najpiękniejszą swą pieśnią, a ranny wiatr na przywitanie nowego człowieka — niby towarzysza, druha swego — roznosi naokoło słodką woń drzewa, bżów i konwalij leśnych. Kukulka, jeżeli kuka, to na to, aby samotnemu marzycielowi wywróżyć, ile mu jeszcze lat w ojczyściej upłynie ziemi. A kiedy przyszedł czas, że człowiek musiał z rodzinemi pożegnać się stronami i iść w świat — na wolę i niewolę — kiedy się oko w chwili rozstania gorzką łzą zalewało, zasępił się i horyzont niebieski, deszcz padał rześisty, a pod wieczór słońce było zaczerwienione, jak od płakania oczy matczyne. Z najbliższą rodziną cała płakała natura, jak gdyby należała do tej rodziny najbliższej: wicher szumiał po polu, a kłosa pszeniczne strząsały łzy swoje na ścieżkę pod nogi idącego w świat tułacza. Nawet wrony w lesie krakały na gałęziach smutną pieśń pożegnalną.

Kalina, wyrosła w gaju, nad modrym potokiem, pijąca

krople rosy, strojna w czerwone korale i warkocze z cienkich uplecione gałązek, zalotna jak dziewczyna wiejska, która nie mając lusterka, przegląda się w źródle, kalina, igrająca z wiatrem rozczesującym jej włosy, los swój związała z losem wiejskiego chłopaka. Przychodził on do niej codziennie, na wierzbiniowej fujarce żalosne wygrywać nuty, a ona czeka na niego stęskniona, jak kochanka. A gdy w jesieni położono grajka do trumny, tak sobie śmierć jego wzięła do serca, że straciła z żalu swoją urodę, że zrzuciła z siebie korale i rozwiała wszystkie swe liście.

Dwa dęby stuletnie, jak dwaj brodaci staruszkowie, gwarzą sobie wśród cichej nocy miesięcznej, przekomarzają się o to, co z jednym i z drugim się stanie, a każdy z nich świadomy jest tego, że ich przeznaczenie ściśle jest związane z losem człowieka, z którym jeden i drugi chciałby jak najdłużej pozostać. Towarzyszą mu w drodze jego żywota od początku do końca. Jeden mówi, że będzie kołyską, którą ludzie sianem wyścielą, liściem ozdobią, że kołysać będzie albo chłopaka albo dziewczátko; a drugi mówi, że majstrowie sporządzą zeń żłobek dla konika ułana. „Bądź sobie żłobem“, przekomarza się pierwszy, „a ja będę w żelazo oprawną dzidą“. „Jak ty będziesz dzidą, to ja będę trumną tego człowieka i któż z nim dłużej zostanie?“ „Nie chęć się“ — odpowie znowu pierwszy: „ja wtedy będę czarnym krzyżem na grobie, a na krzyżu tym wyryją napis: „Tu leży wojak w bitwie zabity“.

Walecznego żołnierza zabijają, a dąb, jak najserdeczniejszy przyjaciel ubiegający się o okazanie mu swojego współczucia, ma być głosicielem jego bohaterskiego końca.

Ta nie wewnętrzna, zespalająca człowieka z Przyrodą, że oboje żyją ze sobą w braterskiej zażyłości, stwarza pomiędzy jej płodami, nie należącymi do społeczeństwa ludzkiego nawet mścicieli krzywdy zadanej człowiekowi. Pani zabija pana,

męża swego, grzebie go w nocy w ogrodzie pomiędzy kwiatami i, spełniwszy dzieło, przekonana jest, że zatarła wszystkie ślady swej zbrodni. Atoli lilja i ruta, rosnące na grobie, śpiewają pieśń żalosną, której treścią czyn ów krwawy, a śpiewają tak długo, aż przypadek nie sprowadzi brata zamordowanego. Od lilji i od ruty dowiaduje się on o smutnej nowinie i sprawiedliwą przeniewierczej żonie poleca wymierzyć karę.

Na tle takiego krajobrazu i wśród takich, uczuciami ludzkiemi ożywionych jestestw Przyrody — jakiegoż umieścić poeta człowieka?

Przeważna część jego postaci ludzkich pochodzi z chałup kmiecyh i stanowi osobny świat, do tego sielankowo pojętego otoczenia jak najzupełniej przystosowany. Świat ten przypomina owe obrazy dawnych mistrzów, przedstawiające raj i pierwszych naszych rodziców. Żyją oni nadzy, a w swej nagości niewinni, wśród bogactwa najróżnorodniejszych roślin, złanych orzeźwiającą rosą i wśród fauny, gdzie nosorożec lub tapir, gdzie lew lub tygrys, w idylicznej obcujący z barankiem i wiewiórką zgodzie, zdają się wdzięczyć i przymilać do uszczęśliwionych Adama i Ewy. W dali tylko wśród gęstwiny ljan i olbrzymich paproci spoczywa wąż, z judaszowskim wyrazem oczu — bo na malowidłach tych paszcze wszystkich zwierząt mają w sobie coś ludzkiego — czyhający na to, jakby tę błogosławioną zakłócić harmonję. U twórcy mazowieckich sielanek, wąż ten istnieje również w postaci troski trapiącej lud biedny, ale tak jest ukryty, że widać mu zaledwie mały czubek łba.

Lenartowicz umiał podpatrzeć poetyckie życia ludowego strony i te zaklął w prześliczne swe „bohomażki“. Mamy więc przedewszystkiem szereg dziewczyn wiejskich, a właściwie jedną — Wiochnę — w najrozmaitszych tańczącej i śpiewającej przed nami figurach. W cichym brzozowym lesie zbiera

jakaś Marysia czy Jagusia jagody, prosta, wesola, uśmiechnięta do tego skrawka nieba, niebieszcącego się nad jej głową, gwarząca z drzewami, które jej się kłaniają, z dzieciołem i wywilgą, z zającem, który, usłyszawszy szelest, wyskakuje z pod jałowca i ucieka, nie chcąc słuchać, że dziewczyna dałaby mu liść kapusty, tak jak królikowi jakiemu. Piersi jej oddychają swobodnie — istotę jej całą ogarnia świeżość, rozlana w lesie po niedawno spadłym deszczu. Jagoda po jagodzie idzie do dzbanka, dziewczę nuci chłopskie „dana oj! dana“, będące wykrzyknikiem radości, wesela. Ale naraz myśl jej zdaje się zaciemniać, a wargi składają się do piosenki, dziwnie tęsknej, smutnej zawierającej jedną z tych trosk elementarnych, które u Lenartowicza zaciemniają horyzont chłopskiej idylli.

Melodyjne zwrotki prawią o tej matce, co miała dwie sieroty: siedmioletniego chłopca, który, jak złoty aniołek, przepasany krajką, opalony, zawsze bosy, Bóg wie, gdzie szedłby za bajką — i córeczkę, taką samą, jak śpiewająca, „dziewczynę gdyby frygę“, która nigdzie miejsca nie zagrzeje, a tylko ciągle śpiewa i biega. Dobrze im się działo pod opieką ócz matczynych, ale przyszedł czas, że wóz, zaprzężony w siwe woły, zajechał przed chatkę, że dziadek kościelny pochwycił za linewkę od dzwonnicy a poza wrotami cmentarza smutna zaświeciła zorza, pokazując w swej czerwieni krzyże i sieroty na mogile... Piosenka się urywa, zapach bożego ziółka i brzęk pszczoły spędza z oblicza dziewczyny tęsknicę. Od owej troski myśl powraca do objawów codziennego życia.

Południe — pastuch zgania z pastwiska bydło, mające dzwonki u szyji. Dziewczę poznaje każde z nich po dźwięku tych dzwonek, wie, która z tych krówek jest „pawłowa“, a która „graniata“, choć ich w tej chwili nie widzi na oczy. Od krów, od ryczącego w dali buhaja przenosi się jej myśl

do burka, „dobrego psiska, który żadnego nie napadnie dziada, ale za to, gdy na niego zawołać, aby poszukał myszy, tak natychmiast przybiega, kopie, spycha ziemię pod siebie i ki-cha“. Ale przyczyna, która wywołała w duszy dziewczęcia przypomnienie jednego z tych codziennie napotykanych obrazków, niknie: echo dzwoneków coraz to słabsze i myśl wraca znowu do przerwanego wątku smutnej piosenki. Sierota idzie w świat, a siostra, żegnając go, przypomina mu, ażeby za siódmą rzeką, gdy mu już zmiłkną dzwony wiejskie, nie zapominał o rodzinnych stronach, o tej chacie rozwalonej i o tem niebie, co nad jej kominem tak jest błękitne jak oko matki nieboszczki. Niech zapomni o wszystkich, niech nie ogląda się nawet na tych ze swoich, którzy legli w mogile, ale niech pamięta, że czeka na niego „nasze niebo“. Zresztą — pociesza go

„Rosną wierzby nad wodami,
Nad zieloną pochyłością
Kto pożegnał się ze łzami,
Ten powita się z radością.

* * *

Bywaj zdrowy, bywaj zdrowa!
Smutno świeci zachód złoty,
Długa żalność, krótkie słowa,
Żegnały się dwie sieroty“.

Smutek, który nawiedza duszę chłopską, nie może zbyt długo dawać sobie folgi — codzienne zajęcia, zabiegi około zdobycia powszedniego chleba, wypłaszają go przynajmniej na czas niejaki. Powróci on znowu, na razie jednak dziewczyna opamiętuje się, że w tej tęsknicy praca idzie jej jakoś

zwolna, a tu trzeba dużo zbierać jagódek, aby dla domu kupić za nie kwartę soli. Ten kłopot o kwartę soli wzmacnia się, stając do walki z marzycielską tęsknotą. Innym razem zbieranie szło jej prędko, jagódki same napraszały się, aby je zrywała, a dzisiaj — czy je ptaki wydziobały? Nie! główka jej zaprzątnięta czem innem — losem owych sierót dwojga i dla tego tak jej nie rażno z robotą. Sierota przewędrował kraje świata, a choć nie zbywało mu ani na chlebie ani na soli, tęsknił przecież za kawałkiem ojczystego nieba i za krzywką wiatru ojczystego. Złotookiem piórkiem pawia pisze liścik do siostry, odsłaniający jego duszę, pełną smętku krwawiącego, że na obczyźnie tego mu właśnie nie dostaje. I smutek znalazł oddźwięk w sercu siostrzyczki, kocha ona brata za miłość stron ojczystych. Jakież to cudowny a prawdziwy rys wieśniaczego serca! Za zarobkiem idzie za morze, do Ameryki, Bóg wie, gdzie tam jeszcze indziej, haruje w pocie czoła, składa grosz do grosza, ażeby tylko móżdż wrócić do kraju, gdzie żadne go nie czekają dostatki, ale bieda z nędzą, w nierozzerwalny związane sojusz.

Wzięła siostra liść kaliny,
Napisała mało wiele;
Tyś braciszek, tyś jedyny,
Tyś mi anioł w ludzkim ciele.

I co przyszło jej do głowy,
Wypisała wszystko na nim,
Teraz wietrze cichym wianiem
Zanieś listek kalinowy...

I wiatr ponióś listek kalinowy w świat szeroki, a dziewczyna, przebiegłszy kawał boru i zarosłszy się aż do pasa,

powraca do domu, zanieść jagody, za które ma być ona kwarta soli. Zdawałoby się, że tęskna piosenka ją opuści, ale gdzie tam! Piosenka ta z wschodnim spada na nią wiatrem, płacze się jej między myśli — nieogarniona tęsknota z troską codzienną ciąglą w życiu polskiego chłopca stacza walkę, skrzydlata poezja z ciężkoną prozą.

Śliczny ten obrazek kończy się charakterystycznym: „Wola Twoja jak w niebie tak na ziemi“... cichą rezygnacją.

Do „Jagody“ przedstawiającej najidealniejsze pierwiastki duszy chłopskiej a równocześnie symbolizującej słonecznymi barwami i w rysach bardzo ogólnych dolę ludu naszego, podobną jest z wielu względów i „Dziewczyna“. Wesola jak tamta, — i jak tamta zakochana w przyrodzie; w dolinie, która dla niej się kwieci, w wietrze który dla niej wieje, w zorzach, które dla niej wschodzą, w gwiazdach wieczornych, które dla niej migocą. Za te skarby, które Pan Bóg dał jej na „piosenki i powiastki“ umie się odwdzięczać, opiekując się powojem, co się plecie przy krzakach nad ruczajem, ptaszyną śpiewającą w kalinowym ogródku matczynym, ażeby kwiaty nie zwiędły, aby chłopcy nie wybrali piskląt z gniazda; ona to oczyszcza źródło, ażeby w jego fali przeglądać mogły się gwiazdki. Kocha Boga, niebo i matkę, przy której czas jej lekko płynie. Ale i ona zapłacze nieraz i to wtedy, gdy o ludzkiej niedoli dojdą ją posłuchy —

Bo chociaż ja tak wesola,
Taka śmieszka psotna,
Lecz i najsmutniejsza z siola
I często samotna...
gdy do chatki
Zła wieść zakołacze,
To na łonie mojej matki
Żal nad ludźmi splączę...

„Oh! co to za wiersz!“ — pisano o „dziewczynie“, — „jakaż to w nim prostota i jaka wielkość, jakaż prawda i jakaż sztuka zarazem! To prawdziwy fenomen w tych czasach... Muzyczność tu pieśni ludowej, ujęta plastyką Goetego, dźwięki tu Szopena, wcielone w słowa. Od czasów „Rojeń wiośnianych przy krosienkach“ naszego Bohdana nie było takiej piosenki. Ta dziewczyna, co jeszcze bawi u matuli i myśli o kwiatkach i powoju jest tylko młodszą siostrą tej panny Bohdana, co mieszka u cioci i chce być ostrożną... Pieśń ta tak skromna jak lilja, tak czysta jak promień gwiazdeczki, tak świeża jak poranek, a tak smętna jak myśl o kraju. Jak słońce w kryształach, tęczyuje się w niej radość, jak kropla rosy w kielichu róży, drży w niej smutek...“ Tak pisano przed laty z górą trzydziestu, a pomimo tego czasu, pomimo że na polu poezji naszej nie jeden od owej chwili bujny wyrósł kwiat, pomimo, że poezja zmieniła dzisiaj swą szatę i w nowej swej postaci dużo znalazła zwolenników, to najzagorzalszy przeciwnik „idealizmu“ w sztuce na zdanie powyższe w zupełności pisać się będzie. To samo zdanie da się również zastosować i do „Wiochny“, wybiegającej z rannem słońkiem na białą rosę, rozkoszującej się tak samo, jak jej dwie poprzednie siostrzyce, tą brzozą płaczącą, co wyrosła nad rzeką, i temi jasnymi obłokami, co po niebieskim płynąc przestworze, odzwierciadlają swe kształty w czystym potoku.

Po głowie jej snują się rojenia, malujące jej naiwną, czystą, nieskalaną duszę. To przekomarza się z jaskółką, że nie tylko ona potrafi uwijać się wkoło, ale że to jej, Wiochnie, z łatwością przychodzi, niech no tylko ogień wznieci i krówkę wydoji, ażeby się matka nie gniewała, a pokaże, jaka jest zwinna; to raduje się, że Bóg tyle kwiecica rozmnożył po ziemi i że dał jej braciszka, z którym popieścić się spieszy, ale że się jeszcze nie zbudził, więc od kołyski dalej do kominka ogień

zrobić, a gdy się ogień rozpali, nużę czesać długie warkocze, o których ludzie tyle mówią, że jej aż się wstydzić trzeba. Nie w nich pięknego nie widzi, a tylko żmudną ma z rozplątywaniem ich robotę. Prawdziwy umysł dziecięcy, w którym się wrażenia nie łączą w jeden łańcuch, ale są jak rozsypane razem perły i korale, Wiochna przeskakuje z przedmiotu na przedmiot. Matka jej powiada, że nie rośnie, ale to nieprawda, bo niech tylko ciepły na wiosnę popada deszczyk, niech się w nim porządnie przemoczy, a od razu będzie — tak duża! Pająk przędzie szare swe włókienko, i ona umie to samo, a przytem mędrsza jest od niego, bo i na książce czyta i w kościele się pomodli i baranka na Wielkanoc jak żywego ulepi, a gdy w Trzy Króle zrobiła

„Świątą Pannę i Syna
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule
I z lilją staruszką
I z lirenką pastuszką,
To się ludzie zbiegali,
Z całej wioski lecieli
I za głowę się brali,
Matce wierzyć nie chcieli...

Jak owa „jagódka“, dziewczę roi i roi: o tych wianuszkach, które z równianek plecie i srebrnemi i złotemi przetyka listkami, to o bożem drzewku i o tem innem ziele, „co się tak na prątki wije“, a które ogniście lubi, ale z tych rojeń budzi ją obowiązek — pomagania matce. Trzeba wody wyciągnąć ze studni, spieszy więc na podwórko, spuszcza żóraw na dno, podnosi wiaderko do góry i przegładnie się w wodzie, w której taka druga, jak ona, się śmieje, albo zajrzy do studni, głę-

bokiej, że aż dreszcz przejmie człowieka. Ale jej się bać nie potrzeba niczego... a jednak się boi — tych bąków, co po ogrodzie latają, tej osy żółtej na łące i tej jałówki, co bodzie... Boi się i tęczy, która się do niej tak uśmiecha i zaprasza do siebie, a która uniosłaby ją do miesiąca, gdyby zbliżyła się do niej. Trwożą ją także pioruny i grzmoty, ale gdy jest w kościele, wówczas żadnej nie czuje bojaźni, tak jej tam dobrze, jak w domu u matki; rzeźwo jej tam i tak wesoło, że aż ludzie, wzdrygając ramionami, szepcą sobie po cichu: „Ot, cieszy się, bo głupie“. Ale niech sobie gadają, co im się tylko podoba; jeżeli skowronkowi wolno z piosenką wlatywać w niebiosy, to i jej nikt nie zabroni radować się do Boga. Gdy była u spowiedzi, powiedział jej ksiądz, że, jeżeli zgrzeszy, pokutę jej zada. Ażebym więc nie być zmuszoną powiedzieć o sobie, że żyła na świecie, a pokuty nie знаła, dopuściła się grzechu z umysłu, usączywszy nieco miodu z dzbana... Tak roi sobie dziewczyna, tak się weseli, jakby nie było smutku na świecie! A przecież i u niej nie obeszło się bez łez: płakała raz jeden, gdy jej babka umarła, płakała raz drugi, gdy się palił kościółek we wsi, płakała raz trzeci, gdy do chałupy zawitał dziadek z lirenką i zaśpiewał jej piosenkę o Polaku w niewoli... Wtedy to rozczuliła się do żywego i dziś jeszcze, gdy sobie wspomni o tem, nie wie, co się z nią dzieje, coś ją smuci i boli, że niedawno się znowu rozplacze...

Przytoczyliśmy szczegółowiej treść „Wiochny“, bo trudno byłoby za pomocą uogólniania wykazać mistrzostwo autora w malowaniu tej naiwnej duszy wiejskiej piękności. Lenartowicz wywołuje tutaj efekty najsubtelniejszymi rysami, rozrzuconemi niby bezładnie, a przecież cudowny, meissonierski, dającymi portrecik. Wszystkie idealne cechy ludu naszego występują tutaj w całej swej krasie: miłość Boga, przyrody i swoich, miłość kąta rodzinnego, prosta, jak Boża

męka nad drogą, o żadne teologiczne esy i floresy nie troszcząca się wiara, pracowitość, skrzętność pszczela i jaskółcza zwinność łączą się tutaj w całość, piękną jak kalina, wonną jak lipa rozkwitła. W „Wiochnie“ uderza nas jeszcze rys jeden, zaznaczony także, choć bardzo lekko w „Jagódce“; mianowicie odczuwanie cierpień uciemnionego narodu i zespalanie się z jego nadziejami, z jego wysiłkiem, wymierzonym ku odzyskaniu utraconej swobody. „Jagódka“ do dumki o sierotach nawiązuje piosenkę coś „o koniu i o szabelce“, a Wiochnie lży cieką z oczu, gdy jej zanuć „o Polaku w niewoli“. Ten sam rys, dla nas z wielu względów najbardziej zaciekawiający, znajdujemy i w innych poematach. Wieje śnieżycą, szumią drzewa, ponad zagonami wzlatują wrony, naokół zimno, przeszywające kości — a z chałupy wyleciał na drogę „chłopak“, z rękami czerwonymi jak raki, z oczami jak ciarki. Przez wieś maszerowali powstańcy, z daleka słychać jeszcze nutę dzielnego marsza, widać jeszcze bagnet, połyskujący nad starym żołnierzem.

„I przeszli, minęli,
Śnieg gęsty popruszył,
Choć przeszli, minęli,
Chłopak się nie ruszył.
Na czole mu siadła
Chęć bójki zawzięta,
Po twarzy mu spadła,
Kropelka zziębnięta.
Czy mróz ją wygonił
Wędrować po świecie?
Czy z biedy lży ronił?

Nie! Mazur nieletni poleciał do chaty prosić matki o takiż, jak u wojaków, karabin. Albo w onym „Grajku“, gdzie roz-

ochoceni parobcy dolewają staremu piwa do dzbana, ażeby im zagrał taką piosenkę, którąby cała Polska usłyszała, a zagrał ją z taką mocą, „ażeby już raz dobrze było“.

Społeczeństwo, zwłaszcza galicyjskie, mające w pamięci smutny epizod rzezi, do niedawna jeszcze inne o chłopie miało pojęcie. I dzisiaj zapewne ten i ów sceptycznie wzruszy ramionami, mając przed sobą Lenartowiczowskie Jagody, Wiochny, Baški, Marysie etc. Chłop który „więcej ubolewa nad utratą bydłęcia, aniżeli dziecka“ — bo taką charakterystykę słyszy się niejednokrotnie — nie zdolen jest, powiedzą, ani do tak subtelnych uczuć w życiu codziennem, ani do wzniesienia się do tej miłości, którąby mu kazała wylać, gdy tego potrzeba, własną krew swoją. Dla takich sceptyków argument żaden na nic się nie zda, a jednak piszący te słowa, który pomiędzy ludem się wychował i którego najserdeczniejsze węzły, bo węzły rodzinne z ludem tym łączą, częstą miał sposobność znajdywania po drodze, przewijającej się pośród łąków i chałup chłopskich, tyle pereł najdelikatniejszych uczuć, jakich trudno właśnie znaleźć w przecywilizowanych warstwach „wyższych“, gdzie każdy poryw, każde westchnienie ściśle jest odmierzone, ażeby nie przekroczyło granic „przyzwoitości“, ażeby nie ściągnęło na odnośne jednostki zarzutu prostactwa. Prostactwem jest bowiem zbytńia serdeczność i szczerość otwarta, prostactwem nieokiełzany zapal. A co się tyczy uczuć patryjotycznych u chłopą, to nasze dzieje dużo wykazują przykładów, świadczących, że lud nasz, choć przez całe wieki nikt mu nie powiedział, że Polska to matka jego, do tego synostwa z własnej woli czynnie się przyznawał. Kurpie bili Szwedów, Krakowiacy zdobywali moskiewskie pod Raclawicami armaty, a Wielkopolanie broczyli w krwi niemieckiej pod Wrześnią i Miłosławiem. Lenartowiczowi cześć się należy, że tego, drzemiącego na dnie duszy chłopskiej

uczucia, z którego wykwitnąć ma dla narodu owocodajne drzewo wybawienia, w pieśni swojej nie pominął, że przeciwnie, nazначzył mu jedno z miejsc najwybitniejszych. Lud polski rodzi z siebie „*dęby i lilje*“, a rodzi je z krwi, której ślady sięgają aż do głuchego Sybiru. Tam, gdzie już nawet słońca nie stało, anioł, przebiegający po świecie, usłyszał głos lirenki: Wygnaniec polski, brat „szczęsnej Marysi“, która umarła z żalu, że go w moskiewski zapędzono jasyr, niebieskie wśród renów wygrywał kolendy. Lirenka grała a grała, że anioł poczał gorące łzy wylewać i przed Polakiem, który „w nędzy tak kochać i w nędzy tak prosić umiał, upadł bieluchnym miesiącem“ i za tę miłość, „która nam dźwigać pomaga ciężary i daje wiarę w zwycięstwo, która serca nasze krzepi nadzieją i wciąż nas uczy, że lepiej będzie“, poniósł go na błonie wolnej już Polski...

Nie da się zaprzeczyć, że Lenartowicz przedstawia nam duszę chłopską jednostronnie, że maluje ją w słońcu, że odślaniając istniejący w niej bogaty skarbiec pierwiastków szlachetnych, starannie zdaje się unikać pokazywania nam cieni, z których niejeden rodzi się występki, niejedna zbrodnia. Ludzie to prawie bez grzechu, przechodzą przez świat czyści, jak ów „Janek stary“ (w rzewnym wierszu „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“), który od „chłopięcia szczerogólny miał statek w bitwach i w pracy i około dziełek“, którego dusza aż do skonu „tak była jasną, jakby co dopiero wyszła z dłoni Przedwiecznego“, a który umierając, po zapewnieniu księdza, że będzie miał nad sobą opiekę w niebie, jeden ma tylko jeszcze kłopot, co mianowicie powie, gdy stanie przed majestatem bożym, jak przywita tych świętych wszystkich i tych aniołów wszystkich, mających go w swoje przyjąć grono. A „cóż się mówi, kiedy się wchodzi między ludzi dobrych?“ — pyta się kapłan konającego — „mówi się: Niech

będzie pochwalony...” „Toć prawda! prawda” — zawoła staruszek i z tem pozdrowieniem na ustach zamyka na zawsze powieki.

Wiedział poeta, że „wszędzie są złości i kto grzechów nie ma?” ale był też równocześnie tego przekonania, że ten ich posiada „najmniej, kto się roli trzyma”. I z wielu względów może miał słuszość, boć doświadczenie uczy, że człowiek w obcowaniu z Przyrodą, lepszym się staje, aniżeli żyjąc z daleka od niej, zamknięty w ciasne mury życia miejskiego, wśród zaułków, gdzie zaledwie widać skrawek nieba, gdzie słońce rzadko w swej całej pokazuje się glorii. Przytem i pewne rodzaje zawodów, praktykowanych po miastach, wymagających niezwyklego naprężenia sił intelektualnych, ażeby w walce o byt, która tam ostrzejsze przybiera rozmiary, utrzymać grunt pod nogami, ujemnie wpływają na rozwój moralnych pierwiastków w wnętrzu ludzkim.

Tych „grzechów, które są wszędzie“, dostrzegał Lenartowicz pośród ludu jak najbardziej znikomą liczbę dla tego, ponieważ lud ten serdecznie ukochał a miłość, jak wiadomo, chcąc niechcąc zamyka oczy na niejedną przewinę.

Wielką już zbrodnią były te drobne przykrości, które sobie wśród trudów codziennego żywota sprawiają członkowie jednej rodziny. W „dwóch duszach“ mamy klasyczny tego przykład. Cnota i występki spotykają się w drodze powietrznej: duchy dwóch nieboszczyc, Barbary i Marji. Jedna z nich biała, jak słońce, kiedy się lekką okryje chmurką, druga zaś ponura, czarnolica.

Nieboszczyce, które za życia dobrze się znały, rozwiniawszy długie swe duchny, całuny, rozpoczną pomiędzy sobą rozmowę. I okazuje się, że pierwsza, biedne popychadełko, opalone zawsze od słońca, na ciężki trud skazana, że aż litość brała patrzeć się na nią, gdy żęła zboże, gdy ze zmęczenia ledwie że

dzbanuszek z wodą utrzymać zdołała, nie bielila się na żadnym blichu, nie wykapała się w tę drogę wieczystą w żadnym stawie, w żadnym jeziorze, w którym łabędzie płuczą swe skrzydła, w żadnym zdroju, co w lesie z pod drzewa wypływa, ale że ją tak wybielił twardy znój, że ją tak własne łzy, które nieraz ronić jej wypadło, z ziemskiej obmyły spiekoty.

A druga — czego się dopuściła, że w takiej czarnej zjawia się postaci? Ona, co tutaj na świecie doczesnym białą była, jak ściana, i rumianą, jak róża, poczerniała nie od ziół szkodliwych, ale od tego, że nieraz matce hardo odrzekła, aż jej łzy popłynęły z oczu. Te łzy matczyne stały się powodem tej zmiany.

Nie dziw więc, że lud, który ma tak wysoce moralne pojęcia — bo dwie dusze wzięte są z podania ludowego, które i piszący te słowa słyszał w jednej z chałup nadgoplańskich, że więc ten lud w miłością rozszerzonych oczach poety składa się „z samych świętych Marków i Ann świętych“.

Przy swojej cnotliwości lud w obrazach i obrazkach Lenartowicza wydaje się mniej więcej szczęśliwy.

W czas orki jedzie sobie „mazur“ z wołami na pole i śpiewa sobie razem z dziewczyną, której nuta dolatuje do niego z pobliskiego gdzieś lasu, razem z ptaszkiem, co się nad świeżą unosi glebą. Bo i dla czegoż nie miałby sobie zaśpiewać, dla czegoż nie miałby się weselić? Nie jest przecież żadnym „nicipotą“, ma przytem chatę i stodółkę poszytą, ma bydelko i dwa konie, ma żonę, którą kocha, i dzieciaka małego. Wszakci i Pan Bóg ma go w swojej opiece, bo grady omijają jego zboże, a deszczyku, gdy potrzeba, aby się żytko wykłosiło, również nie zbraknie. Sprzęty będą niezłe, z omłotu spadnie nawet coś dla kaleki, dla sieroty, dla ptaka, dla przyjaciela a nawet i wroga.

Ziemia obrodzi, to widać, bo to ziemia, jakiej nigdzie nie

ma podobnej. Są-ci, co prawda, urodzajniejsze jeszcze gdzieś tam łany, mają Kujawy zboża i łąki, ale nie mają takich lasów, od których dusza się raduje.

Ma człowiek swoją troskę, panu twardo służyć musi, ale za to może Pan Bóg daruje mu grzechy, może pocieszy go na dzieciach, nie ma się więc czego smucić... I nie smuci się: wyprawia ślubne gody córuni, na których „stary Józef skrzypkę stroi“, aż parobcy przytupują nogami, albo przy kwaterce zasiędzie sobie w karczmie, i dalejże na grajka i basistę, ażeby od ucha mu różnęli. I grajek i basista nie dadzą się prosić dwa razy, „ten zawadzi, ten odprawi“, a smyczki chodzą po strunach jak gdyby same. I życie rozwija się, szaleje naokoło: dziewczęta nuć o tej przepiórcie, co ucieka w proso, chwytają nuty zbłąkane: ta dobra do tańca, ta do pracy a od tamtej znikają kłopoty... „Grajże grajku będziesz w niebie, a basista koło ciebie!“ I robi się

Szumno, tłumno i wesoło...
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem,
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.
Wszyscy skaczą, jak najęci,

a

Zmarnowane bieda z nędzą
Jak szalone ze wsi pędzą...

Muzyka zagłusza kłopoty codzienne i chłop, jeżeli się na nie poskarży, to tak cicho, jak gdyby bał się, żeby mu jego

skargi nie poczytano za złe, albo jakgdyby wiedział, że to się na nic nie przyda. Zdając zresztą wszystko na wolę bożą, nie poddaje się rozpacz, chyba, że się już wszystko złe na niego spiknie, że mu się spali stodoła, że mu zboże grad wytłucze, że ma za cały majątek dwa doły, w których leżą żona i dziecko, że mu z chaty pozostaną same zgłiszcz. Wtedy to z rozpacz do moskiewskich przystanie żołnierzy, ale nim spełni ten czyn, w dzikim tańcu chce zapomnieć choć na chwilę o swojej niedoli. I tańczy, a grajek gra, aż się zmacha od grania, aż mu krople po licu pociekną, aż nareszcie sam pod wpływem szalonego *Maćka* prawie oszalały, rzuci skrzypce o ziemię, potrzaska je i podepce.

Zdobył się Lenartowicz raz tylko na przedstawienie życia chłopskiego, z jego najmniej poetycznej strony; kolce i cierpie, których w tem życiu jest pełno, a które rozsiał w swych obrazkach nader wstydliwie, pokazał nam w całej smutnej ich okazałości, ale i tym razem nie każe nieszczęśliwemu robaka n. p. zalewać wódką, jak to się dziać zwykło, tylko zagłusza go — muzyką. Muzyka jest nieodłączną towarzyszką Lenartowiczowskiego chłopa. Nuta, wydobywana ze strun skrzypcowych lub z ligawki unosi się ponad jego chatą, nad jego stodołką i oborą i ponad jego łąkami, zlewając się razem z odgłosem „*dzwonku*, który i dzień zwiastuje i dzwoni na odwieczery, kiedy się świat uśmierzy, i schodzi na Anioł pański na ten brzeg nadwiślański“ — z odgłosem dzwonu, który kiedyś tak „*Huknie sercem na grobie*“, że

Wszystkie prochy po świecie,
Onych ludzi, co wiecie,
Jeden wicher znów zmiecie.
I z tych prochów się złoży

Coś, jak gdyby gniew boży,
Pył do pyłu przystanie,
I lud wstanie na łanie
I przebrzmiały ich głosy,
W żywe hukną niebiosy:
Witaj dawna starszyczno!
Witaj matko ojczyzno!"

II.

WIEŚ MAZOWIECKA A POEZJA LENARTOWICZA.

Wieś mazowiecka, w której Lenartowicz spędził swe lata dziecięce, a którą i później, w młodzieńczym wieku, często odwiedzał, wywarła na kierunek jego poezji wpływ rozstrzygający.

Zapatrzony w jej niebo, zasluchany w szumy jej lasów i zbóż, zetknąwszy się bezpośrednio z życiem jej mieszkańców, których pieśni ze wszystkich naszych poetów znał najdokładniej, rozpoczął Lenartowicz, porzuciwszy naśladownictwo w duchu ówczesnej poezji romantycznej, która nie umiała jeszcze wyswobodzić się z pod wpływu hyronizmu, bardzo rychło z czynników powyższych snować obrazy i obrazki, które mu zgotowały nazwisko wielce zaszczytne — „mazowieckiego lirnika“, to jest poety ludowego.

W pieśni lenartowiczowskiej odżył przedewszystkiem kraj-obraz tej wsi. Bywa on nieco monotonny, niemniej przecież pociąga dziwnym urokiem. Szmata ziemi, pokrytej łąką zieloną, wśród której pstrzają się kwiaty polne, staw błękitny lub wstęga rzeki, nad którą rozsiadły się wierzby albo jaki dąb

żyłasty, samotna grusza, ciemny las, chałupy słomą kryte, otoczone ogródkiem, w którym rosną lilje, czerwony mak, słonecznik żółty, kościółek wiejski z cegły czerwonej, otoczony wieńcem lip lub topoli — oto pejzażu Lenartowiczowskiego składniki, powtarzające się po niezliczoną ilość razy, w ugrupowaniu zawsze nader prostem, naiwnem, wśród atmosfery lekkiej, wysoce uwydatniającej perspektywiczne oddalenia, składniki, które tworzą wieś mazowiecką.

Krajobrazy te nie tylko żyją blaskiem słońca, światłem księżyca, migotaniem gwiazd, połyskiwaniem rosy, pieśnią skowronka, rykiem bydła, barwami i zapachem ziół, ale pomiędzy tymi wszystkimi żywiołami a postawionym wśród nich człowiekiem, wewnętrzny istnieje związek, żyją one jego własnym życiem, cieszą się z nim albo się smucą, śmieją albo płaczą, pomagają mu w pracy albo owocami swymi darzą go za trudy.

„Skowronek orze, a przepiórka pogania“, albo przypomina, wołając: „pójdźcie żąć, pójdźcie żąć“, że nadszedł już czas sprzętów. Śpiewa sobie dziewczyna, śpiewa sobie z nią i las cały, a gdy zdziwiona, że „jej się drzewa kłaniają“, umilknie „i bór ciemny milczy“. Jagoda doprasza się zbierającej, ażeby ją zjadła bo „słodka jest i świeża jest“, a chłopu przy orce nuca wywilgi i kosy.

Narodziny dziecka zwiastuje słowik najpiękniejszą swą pieśnią, a ranny wiatr na przywitanie nowego człowieka — niby towarzysza, druha swego — roznosi naokoło słodką woń drzewa.

Cała natura współczuje boleści człowieka, zmuszonego żegnać kąty rodzinne.

Na tle takiego krajobrazu i takich, uczuciami ludzkiemi ożywionych jestestw przyrody, umieścił Lenartowicz człowieka, wziętego z pod strzechy chłopskiej, a do tego otoczenia

zupełnie przystosowanego. Lenartowicz umiał podpatrzeć poetyczne strony życia ludowego i te zaklął w swe przesliczne obrazki. Bohaterowie i bohaterki — jeżeli można użyć tego określenia dla poezji mazowieckiego lirnika, to ludzie prości, których całym prawie światem jest wioska z jej weselem i z jej troskami. Życie swe spędzają przy pługu, przy sprzętach, w chałupie, w kościele lub w karczmie. Posiadają oni pomimo troski niejednej, zadowolenie ludzi dobrych, a zadowolenie to przebija się w muzyce i śpiewie; Mazur za wołami, nuci sobie razem z „Jagódką“, której głos dolatuje do niego z pobliskiego lasu, razem z ptaszkiem, co się nad świeżą unosi glebą. Bo i dlaczegoż nie miałby się weselić? Nie jest żadnym „nicpotą“ ma chatę i stodółkę, ma bydelko i dwa konie, ma żonę i dziecko, które kocha. Ze strony Pana Boga doznaje również względów: grady omijają jego zboże, a deszczyku, gdy potrzeba, nigdy nie zabraknie. Prawdą jest, że czasem i troska mu dopiecze, że panu twardo pracować musi, ale i z tego niema się powodu zbyt mocno smucić, bo go za to Pan Bóg wynagrodzi — pocieszy go na dzieciach.

Po pracy idzie sobie do karczmy, gdzie stary Józef skrzypkę stroji i tutaj przy szklance piwa lub wódki kwatereczce radzi sobie z sąsiadami o wspólnej biedzie, gdy tymczasem młodszy idą w tany, wesoło przyśpiewując przed grajkami i basistą, niebo za dobre obiecując im granie.

Muzyka zagłusza kłopoty codziennego życia i chłop, jeżeli się na nie poskarży, to tak cicho, jakgdyby bał się, żeby mu jego skargi nie poczytano za złe, albo jakgdyby wiedział, że to się na nic nie przyda. Zdając zresztą wszystko na wolę Pana Boga, nie poddaje się rozpacz, chyba że się na niego wszystko złe już zwali, że mu się spali obejście, że mu grób zamknie żonę i dziecko. Wtedy to w rozpacz gotów do moskiewskich przystać żołnierzy, ale przedtem jeszcze w dzikim

tańcu chce zapomnieć choć na chwilę o swojej niedoli. I tańczy, a grajek gra, aż mu krople po licu cieką, aż nareszcie sam pod wpływem szalonego Maćka prawie oszalały, rzuci skrzypkę o ziemię, potrzaska ją i podepce.

Ludzie to zresztą prawie święci, nikomu źle nie życzą, kochają Boga i bliźnich, a gdy umierają, wówczas ich dusze uchodzą tak do nieba, jakby co dopiero wyszły z dłoni Przedwiecznego. Wielką już zbrodnią są dla nich te przykrości, które sobie wśród trudów rodzinnego żywota sprawiają. Łzy, które córka hardością swoją wycisnie matce, mszczą się na niej po śmierci: nieboszczycą, za życia biała jak śnieg, a rumiana jak róża, staje się czarną jak sadza.

Nieda się zaprzeczyć, że Lenartowicz przedstawia nam duszę chłopską jednostronnie, że maluje ją w słońcu, że odsłaniając istniejący w niej bogaty skarbiec pierwiastków szlachetnych, starannie zdaje się unikać pokazywania nam cieni, z których niejeden rodzi się występki, niejedna zbrodnia. Wiedział poeta, że wszędzie jest złość i wszędzie są grzechy, ale i to wiedział, że ten ich posiada najmniej, kto się roli trzyma.

Miłość, jaką poeta do ludu polskiego żywił, nie pozwalała mu zbyt dużo widzieć tych grzechów — boć wiadomo, że miłość zamyka chcąc niechcąc, oczy na niejedno.

Chłop Lenartowicza obok pracowitości, pobożności i innych cnót, posiada jedną wielką cnotę, zasługującą na postawienie jej na miejscu pierwszem: miłość kraju rodzinnego. Nikt mu nie powiedział, że Polska to jego matka, a przecież on ją z całego serca kocha, nienawidzi jej wrogów i pragnie jej oswobodzenia. Z losem Polski łączy on i swoje losy: wierzy w to, że gdy będzie Polsce lepiej, to i jemu będzie inaczej się działo. Uczucie to przebija się na każdym kroku, chłop nie zanuci piosenki, aby nie kończył ją refrenem: danaż moja dana,

ojczyzna kochana! Wszędzie, w polu i kościele, w domu i karczmie, gdzie mu na niewinnej schodzi zabawie jakaś po pracy godzina, myśli on o Polsce. Nienawiść jego znana przedewszystkiem do Moskali, a dziewczyna temu przedewszystkiem oddaje serce i rękę, kto był na wojence i walczył z Moskalami.

Wieś mazowiecka nie tylko istnieje na ziemi, ale i w niebie, gdzie takie same patryjarchalno-idyliczne panują stosunki jak tutaj, tylko, że tej sielanki nie zakłócają tam żadne troski, chyba tylko w takim razie, jeżeli człowiek na ziemi, będący ich protegowanym, na złe zbacza drogi...

W tej niebieskiej wsi mazowieckiej dobry pasterz Jezus pasie na kwiecistej łące owieczki, będące duszami ludzi zbawionych, a że sielanka nie może się obejść bez skrzypiec, więc przygrywają mu anieli.

Obok niego Najświętsza panna przedzie z pajęczyny przędę na koszulki dla biednych sierot, ale wciąż musi upierać się z psotnikiem wiatrem, który tę przędę jej zrywa, i dlatego to nie wszystkie sierotki mają koszulki.

Na łące tamtej wsi rośnie tak samo pszenica, jak tutaj, kwitną tam jabłonie tak samo — tylko że kłos pszenicy i owoc jabłunki ze szczerego jest złota.

Pomiędzy wsią mazowiecką w niebie, a tą nad brzegami Wisły, ścisły panuje związek. Widać stamtąd wszystko, co się tutaj dzieje — widać i chłopka przy pługu i pastuszkę na łące i dziewczę zbierające ziele.

Aniołowie patrzą na ziemię złotymi gwiazdkami, litość nad nędzą ludzką tak ich wzrusza, że płaczą rosy kroplami, a od tej rosy, od tej litości na łąkach wsi mazowieckiej pleni się zboże.

Dusza przechodząc z tej wsi do tamtej, otrzymawszy skrzydełka ptaszka, a nad czoło mały świecący krążek, wchodzi do nieba jak służebnica w próg gospodarza, albo jak krewna

do domu krewnych od niej starszych; nasamprzód się pokłoni, a potem ucałuje koniuszek sukni świętych patronek, niby gospodyń — te same zwyczaje co i tutaj — i potem w ich towarzystwie przechodzi przez świetlice niebieskie, pomiędzy świętymi, nie różniącemi się niczem od tych, jakie widziała na obrazach w kościele. Pomędzy świętymi widziała także chłopka polskiego, opartego o pszenney snopek, a obok niego stali jego nieletni chłopaczkowie.

Jest tylko jedna różnica pomiędzy wsią mazowiecką na ziemi a wsią mazowiecką w niebie, ta różnica, że gdy tutaj trzeba pracować, to tam dusza człowieka wyleguje się dowoli pod złotemi jabłoniami. Pracują za nią święci pańscy. Ci święci wykonują też roboty — te same co ludzie na ziemi: koszą siano, strzygą owieczki i t. d.

Taką jest wieś mazowiecka w poezjach jej prawdziwego serdecznego lirnika.

III.

LIRYKA T. LENARTOWICZA

Pierwsze występy Teofila Lenartowicza na niwie piśmiennej łączą się z chwilą, kiedy twórczość polska wznosiła sobie na obcej ziemi nieśmiertelne pomniki.

Do kraju słabe twórczości tej dolatywały echa: wpływ wielkich poetów na pokolenie pisarzy, którzy owoce swych „natchnień“ — mówię „natchnień“, ponieważ w katechizmie Zmorskich, Fillebornów, Ludwików Norwidów na wyraz ten zasadniczą kładziono wagę — umieszczali w czasopismach warszawskich około r. 1840, był nieznacznym.

Lapidarne hasło romantyki: „miej serce i patrzaj w serce“

doprowadziło w utworach tych do przewagi uczuciowości wybujałej i sztucznej nad prawidłami rozumu, broniącego wyobraźni od wrogich arcyzmowi rozwichrzeń.

„Gonitwa za światem prawdy nieśmiertelnej“ była i u tych naśladowców Mickiewicza z epoki „Ballad i romansów“, „Grażyny“ i „Wallenroda“ jednym z najgłówniejszych przykazań, tylko że poetyckie odbicie tej prawdy przybierało cechy jednostronne, objawiające się w zamykaniu przybytku sztuki dla pierwiastków, czerpanych z realniejszego życia duszy, na wyłącznem niemal uwzględnianiu czynników fantastycznych.

Mickiewiczowskie „czucie“ zmienia się w czułośćkowość, która i w młodocianych wierszach Lenartowicza niepoślednią odgrywa rolę.

Charakter tych pierwocin da się najlepiej określić wyrazem: „bajronistyczne“.

Jak wiadomo, zasoby wiedzy Lenartowicza w tym okresie bardzo były szczupłe, to też nie można przypuścić, aby „rozczarowanie do świata“, którego nie znał, aby „bezbrzeżny smutek“ i frazesowe „pragnienie miłości bez końca“, wypływało z bezpośredniego źródła, z rozczytywania się w oryginalnych poematach Byrona; dalekie, a nieudolne odbicie ich ducha przypisać należy pośrednictwu autora „Luga“, „Mnicha“ i „Araba“.

Nie tylko w ogólnym nastroju psychicznym, ale i w sposobie malowania szczegółów zewnętrznych nie trudno nam będzie dopatrzyć się w tych najwcześniejszych świadectwach muzy lenartowiczowskiej śladów poetyckich opowieści Słowackiego.

Kiedy w „Niemej modlitwie“ mówi o „ciszy kościelnej“, o „złotych ołtarzach“ i o „marmurowych posadzkach“, o „białych filarach i grobach, drzemiących w cieniach“ o „lampie,

która gdzieś w dali nad krzyżem czarnym drżąc się pali“ — o tem, że „w kościele cisza, jakoby w marzeniach święci zasnęli“ i że „tylko czasem jakowy obraz promieni z wysoka, z poza ciemnego biegąc obłoka, przez szyby złotym owinie pasem“ — gdy potrąca o „światło grobowe, co muśnie promieniem Chrystusa głowę“, lub gdy napomknie o aniele, klęczącym u drzwi kościoła“, wówczas mimowoli stają nam przed oczami analogiczne, tylko pełniejsze, głębsze, bogatsze, rozrzutniejsze obrazy Słowackiego:

„Stał nieruchomy jako posąg z glazu,
Co strzeże grobów zimnego marmuru.
Tam coś mignęło? — nie, to błysk obrazu,
Co tak pozłotą odbija od muru.
Jakiś szmer słyszać? — to odgłos wyrazu
Cichej modlitwy, przyniesionej z chóru.

(„Hugo“)

Albo:

„Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
Już nie pamiętam wrażenia tej chwili;
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana, jak niebo gwiazdami okryta.
Każda kolumna jak palma stepowa,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Płomień, z barwionych bijąc szyb kościoła.,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potem, w dymie kadzideł zbląkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła“.

(„Mnich“).

Nie miał Lenartowicz w sobie pociągu do demonicznej grozy, stwarzającej w wyobraźni poetyckiej malowidła po-

nure i krwawe z punktem środkowym zdrady lub buntu. Co najwyżej lubował się w „jakichś widmach“, które „kołyszą rycerską pieśnią“, które „grają zdala“ i serce dręczą boleścią — w „jakichś dumkach mężów walecznych, stróżach ruin na zmroku“, co w „swoich trunach odwiecznych z mieczami śpią u boku“ — zaczęły przemawiać do niego już teraz „jakieś dziady z lutniami w ręku przy ogniach chaty wieśniaczej, to też nie dziw, że w tych dniach wykluwania się czynników twórczych, w naturze jego refleksyjnej parodja bajronizmu ustąpiła wkrótce miejsca wpływowi dwóch innych, Schillera i Mickiewicza.

Jednakże wpływ ten nie jest osamotniony, wyłączny, tworzy on ferment literacki z odbiciem wyobrażeń pseudoklasycznych, a poniekąd i klasycznych wraz z światem pieśni i podań ludowych.

W wspomnieniu swoim o Lenartowiczu Karol Brzozowski opowiada, że pewnego razu zjawił się młody Teofil w domu jego ojca w chwili, gdy ten czytał „Wiesława“.

— Znalazłeś nas przy „Wiesławie“ — rzekł sędziwy żołnierz napoleoński, — to piękne i bardzo piękne, ale tu brak czegoś... czego, nie wiem, jak to nazwać, a to właśnie coś, proste, serdeczne, głębokie, leży w duszy naszego ludu. Gdyby to pomiędzy waszymi młodymi znalazł się taki poeta, któryby tem był dla naszego kmiecego, wiejskiego świata, czem Pol jest dla szlacheckiego! A piękny to ten świat kmiecy! Czy cię ten świat, Teofilu, nie nęci swoją głębią? Jeśli już nie czujesz, to przeczuwasz jego duszę, powiedz, czy nie tobie być jego nieśmiertelnym poetą?

Nie wiem, czy apostrofa powyższa, której autentyczności nie myślę podawać w powątpiewanie, ale która wydaje mi się w tej formie literackiem upiększeniem faktu zapewne prawdziwego, rozstrzygnęła o kierunku późniejszym autora

„Lirenki“. Zdaje mi się jednak, że nie ojcu Karola Brzozowskiego, lecz przede wszystkim Wójcickiemu zawdzięczamy oryginalną w swoim rodzaju poezję, która, sięgnawszy do gminu, wzorem Wolskich i Zmorskich nie obcowała wyłącznie z fantastycznymi płodami wyobraźni ludowej, z zielonowłosemi topielicami i boginkami, ale wydobyla na jaw z realnem życiem związane uczucia duszy chłopskiej.

Dwa z najwcześniejszych wierszy Lenartowicza: „Złota kaczką“ i „Strzelec“ wskazują wyraźnie na zbieracza i wydawcę „Klehd“. Pierwszy — to sparafrazowanie znanej wśród górali podbalańskich baśni o grocie Dunajcowej pod skałą Pisaną w dolinie Kościeliskiej, w drugim, opartym na rozpowszechnionem w rozmaitych odmianach podaniu o karze, jaka spotyka ludzi, gwałcących niedzielę, przeniósł się poeta wyobraźnią swoją w turnie tatrzańskie.

Nie znał Podhala, więc baśń tę mógł słyszeć tylko od Wójcickiego, z którym, jak wiadomo, bliższe zawarł stosunki, a który na kilka lat przed przybyciem Lenartowicza do Warszawy zwiedził był Tatry.

W „Klehdach“ też swoich pomieścił podanie ludowe o skałach nad Morskiem Okiem, wśród których rozgrywa się także akcja lenartowiczowskiego „Strzelca“.

Oba wiersze bardzo jeszcze słabe.

W „Złotej kaczkę“ razi naczelnie zaraz uderzenie jak gdyby w kawał drewna, nie zaś w klawisz czy strunę muzycznego narzędzia, jakim powinno być słowo poety. Morał w kształcie odpowiedzi na pytanie: „czy też prawda, że kiedyś źli ludzie będą dobrymi, jak nam ksiądz powiada“.

A dalej — silenie się na prostotę, rozbieżną z prostotą poetycką, chęć utrzymania się w tonie naiwnych gędzeń chłopskich rodzi zwroty, jak n. p. o gromnicy, której księdzu, przebywającemu w jaskini, „nie zgasiło, bo co inne świece

to zawsze gasi“, albo wytwarza taki, nie prymityw w znaczeniu artystycznym, lecz, o niewprawności pędzla świadczący, bohomas:

Wchodzę pod skałę... niby kościół jaki,
Nibyto pałac wielki jakiś taki
Pięknie zrobiony; patrzę aż tu żywa
Złociuchna kaczka w wodzie sobie pływa.

Młody poeta, debiutujący na łamach tak poważnego czasopisma, za jakie uchodzić chciała „Biblioteka warszawska“, pragnął być barwnym, żywym, lecz, zamiast plastyki w obrazowaniu, dał ordynarne kleksy:

„Więc ksiądz jak zaklnie, a kaczka do wody
I już jej niema... Czekają, czekają,
Ksiądz klnie raz drugi — coś jęło: słuchają,
Aż tu głos jakiś wychodzi z pod spody (sic!)“

Ani śladu lotnego wdzięku, którym tchną późniejsze, z wyobrażeń ludowych zaczerpnięte obrazki Lenartowicza.

Nieco lepszym jest dość czysty w rytmie i rymie „Strzelec“.

Wspominam o nim nietylko z tej przyczyny, że wskazuje na dokonywające się w mózgu poety zawiązki nowego kierunku pod wpływem Wójcickiego, ale i dlatego, ponieważ a) w krajobrazie posiada znamiona, właściwe wogóle pejzażowi lenartowiczowskiemu: wyrazistość konturów, jednostajne ugrupowanie przedmiotów, przewagę szarego kolorytu — zatrzymałem się nad nim wreszcie z powodu, że b) w toku rytmicznym jest jakby oddźwiękiem ballad miciekiewiczowskich:

„Czarne, spokojne patrzy Morskie Oko,
Góry go (!) w koło obsiadły,
A na gór szczytach, daleko, wysoko
Deszczowe chmury opadły.

Nad brzegiem stawu kamienie sterczą,
Świerkowe zielenią lasy,
A pod skałami ogniska skwierczą,
Przy ogniu siedzą juhasy.

Niżej po dolach z szumem się wali,
Spieniona rzuca się woda,
Dziarska, jak dusza owych górali,
Gdy w nich zakipi krew młoda“.

Obrazy powyższe wyglądają na *pendant* do zwrotki z „Świtezi“:

„Świtez tam jasne rozprzestrzenia łona
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczernioną,
A gładka jak szyba lodu“ —

albo do urywku z „Świtezianki“:

„A wicher szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma. —
Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kręconym nurtem pochwyca — —“

Wspomniałem powyżej o wpływie Schillera. W tej mierze znaczny przedstawia interes, jako próba stworzenia pewnego rodzaju filozofji sztuki, fragment dramatyczny p. t. „Rzeźbiarze“. Niemający w sobie nic dramatycznego, dialog

ten pomiędzy mistrzem a uczniem wzorowany jest w formie na „Pieśni o Dzwonie“.

„Pracujcie, bracia rzeźbiarze,
Aż marmur życie okaże;
Z bezkształtnych brył
Wyjść mają figury
Pełne życia, pełne sił!“

Inwokacja ta przypomina w tonie Schillerowskie:

„Frisch, Gesellen, seid zur Hand!
Von der Stirne heiss
Rinnen muss der Schweiss,
Soll das Werk den Meister loben...“

W sprawie treści:

U Schillera fizyczny proces odlewania dzwonu służy jako sposobność do ujęcia w jednolity obraz zwykłych wypadków życia naszego i osnucia tych wypadków przedzą refleksyj poetyczno-filozoficznych na temat zadań, które spełnia czy spełniać powinien człowiek. Rzeźbiarz Lenartowicza — analogon do „Meister’a“ z pieśni schillerowskiej, stojący przed bryłą gliny, której uczeń — „Geselle“ — ma nadać kształty plastyczne, korzysta z chwili, aby, podążając za motywami, zawartymi w „Artystach“ („Die Kuenstler“) poety niemieckiego, a po części i w jego „Idealach“ („Die Ideale“), wypowiedzieć szereg uwag o zadaniach człowieka w zakresie ciśniejszym, w sztuce. Równorzędnie znowu z „Pieśnią o Dzwonie“, obracającej się pomiędzy trzema głównymi etapami losów ludzkich: narodzinami, zaślubinami i śmiercią, uwagi te skupiają się około dziecięcia, młodzieńca i męża:

„Pracujcie nad dziećciem,
Nad młodzieńcem i mężem“.

Wyrażone pod względem zewnętrznym niewprawnie, nie wolne od skażeń językowych, są one w treści majaczeniami, świadczącymi, że poeta nasz nie tylko nie posiadał wyrobionego sądu o istocie sztuki, ale że zaledwie przeczuwając doniosłość pierwiastków twórczych i wpływ ich na urobienie przyszłości ludzkiej, a właściwie nie dobrze rozumiejąc kopjowanego przez siebie Schillera, posługiwał się ogólnikami.

Jak u niemieckiego, tak i u naszego poety pythagorejska harmonja jest zasadniczym warunkiem sztuki:

„Schon sieht man Schoepfungen aus Schoepfungen erstehen,
Aus Harmonien Harmonie...“

„In selbstaendiger, jugendlicher Freude
Leiht er (der Geist) den Sphaeren seine Harmonie...“

„Scin Geist zerrinnt im Harmonienmeere“:

„Ale w ludzkich dziejach jeszcze
Nie było dotąd harmonji“.

Ku tej harmonji, uzmysłowionej w duchu rzeźbiarza, który

„Jako duch stwarza,
Co niekształtne, nieforemne,
Rozwala, rozbija,
Piękności szaty wdziewa,
Piękność wdzięków rozwija“

zmierzać mają twórcze usiłowania artysty, wybrańca bożego,
który w rękę swym dzierży godność ludzką.

„Der Menschheit Wuerde ist in eure Hand gegeben,
Bewahret sie“...

mówi pieśniarz niemiecki:

„Der Dichtung heilige Magie
Still lenke sie zum Ozeane
Der grossen Harmonie“. —

„Lecz kto pragnie wszystkim starczyć,
Niech w sobie przyjmie duch boży (sic! zamiast: ducha
Niech ludziom harmonję stworzy“ bożego),
śpiewa Lenartowicz.

Do stworzenia tej harmonji potrzebne są artyście piękność,
mądrość i siła.

„Pracujcie, bracia, rzeźbiarze.
W wasze dusze wstąpiła
Mądrość, piękność i siła.
Niech się świat wasz ukaże
Całą sztuki pięknością;
W oczach anioła miłością,
W oczach mędrca pojęciem,
W rękę rycerza muszkulem...“

Dalej:

„Słońce mądrości niech świeci,
Samo życie będzie siłą;
Aby się nie rozłączyło

Słońce z kwiatem, niech ukwieci
Mądrość formę“

mówi rzeźbiarz lenartowiczowski, dając wskazówki uczniowi,
jakie ma wyryć piętno na twarzy rycerza; wspominając zaś
o prawidłach, obowiązujących przy lepieniu postaci dziecka,
dowodzi, że:

„Mądrość, siłę w tej dziecinie
Zastępuje duch piękności,
Co na ustach, licach gości,
A w kim Boża piękność płynie,
Ten jest silnym, mądrym wiecznie“.

Wreszcie:

„Także w mędrцу to znajdziecie,
Co w rycerzu i w dziecięciu:
Piękność, jak kwiat, jak to dziecię:
Mądrość w żądań tych pojęciu,
Siłę da ich wykonaniu...”

Ustępy te są albo parafrazą, albo też niemal wiernem, lecz
dość niezręcznem tłómaczeniem wierszy schillerowskich:

„Der Weisen Weisestes, der Milden Milde,
Der Starken Kraft, der Edlen Grazie,
Vermaehlet ihr (die Kuenstler) in einem Bilde
Und stellet es in eine Glorie...”

.
„Was hier allein das trunkene Aug entzueckt,
Dient unterwuerfig dort der hoeheren Schoene,
Der Reiz, der diese Nympe schmueckt,

Schmilzt sanft in eine goettliche Athene,
Die Kraft, die in des Ringers Muskel schwillt,
Muss in des Gottes Schoenheit lieblich schweigen..."

Schillerowskie umiłowanie przyrody, jako źródła natchnień,
ku której:

„Wie einst mit flehendem Verlangen
Pygmalion den Stein umschloss,
Bis in des Marmors kalte Wangen
Empfindung gluehend sich ergoss,

garnął się potęgą rozradowanych sił młodzieńczych i do wez-
branego żądzą twórczości przyciskał łona, póki w objęciu
tem nie odżyła, umiłowanie to ma u Lenartowicza wykładnik
swój w hasle: „Życie!“

„Co najpierwej wywołać?“ pyta się uczeń,

„Życie..." odpowiada mistrz;

„Życie obudzić; na żyjącej twarzy
Łatwo nam będzie dłótem piękność znaczyć;
Życie najpierwsze; w niem się wszystko żarzy“.

Przypisywanie zaś sztuce owej mocy, która dla świata
„przyniesie koniec złemu“, która, gdy dzięki niej przyjdzie
„ducha istnienie“, sprowadzi „królestwo boże na ziemię“,
odpowiada najzupełniej wizji Schillerowskiej. Tylko, że wizja
ta, w wspomniałym zamkniętą obrazie:

„Erhebt euch mit kuehnem Fluegel
Hoch ueber euren Zeitenlauf!
Kern daemmre schon in eurem Spiegel

Das kommende Jahrhundert auf.
 Auf tausendfach verschlungenen Wegen
 Der reichen Mannigfaltigkeit
 Kommt dann umarmend euch entgegen
 Am Thron der hohen Ewigkeit!
 Wie sich in sieben milden Strahlen
 Der weisse Schirmer lieblich bricht,
 Wie sieben Regenbogenstrahlen
 Zerrinnen in das weisse Licht,
 So spielt in tausendfacher Klarheit
 Bezaubernd um den trunknen Blick,
 So flisst in einen Bund der Warheit,
 In einen Strom des Lichts zurueck“

niezbyt świetnego znalazła w Lenartowiczu naśladowcę czy
 tłumacza:

„Czy to przysze duchy pieją,
 Gdzie wiek będzie pochowany?...

.

Czy widzisz tęczę na górach
 I chmury w ziemi waporów
 I promień słońca na chmurach?
 To gra cudowna kolorów
 To tylko życie człowieka...

.

Więc gdzie piękność, gdzie kraj cudów:
 W przejściu, nowych dni poczęciu...
 Ludzkość cała w niebowzięciu...

.

„...ja czuję, że zawłada
 Mój ideał całym światem...”

Zatrzymałem się nieco dłużej nad fragmentem „dramatycznym“, ponieważ, o ile znam literaturę Lenartowiczowską, nikt nie wskazał na te wybitne ślady wpływu Schillera, jakkolwiek badaczom romantyki naszej nie trudno byłoby oddziaływanie to wykazać choćby dla analogji z pierwszemi poezjami Mickiewicza („Pieśni filareckie“, „Oda do młodości“, „An die Freunde“, „Die Freundschaft“); teraz wspomnę już tylko o „Laokonie“, w którym duch mickiewiczowskich dytyrambów z „Ody do młodości“ zlewa się w sposób dość zręczny z reminiscencjami świata starożytnego, i rozdział niniejszy zamknę wzmianką o najwybitniejszym z tej młodzieńczej epoki warszawskiej utworze, o „Wierszu do Poezji“.

Wzmianka zaś należy mu się przedewszystkiem dlatego, ponieważ rodzicowi swemu niemały zyskał rozgłos, a właściwie pierwszy z wszystkich dotąd drukowanych zwrócił nań uwagę szerszego ogółu.

Zresztą wiersz ten dowodzi może najbardziej, że Lenartowicz w owym czasie nie miał ugruntowanych pojęć artystycznych, bo gdy w innych jego pracach z tego samego okresu drgały przeciągnięte struny spaczzonego romantyzmu, lub, chociaż słabo, przebłyskiwać jeły pierwiastki ludowe, to tutaj, tak samo, jak w „Laokonie“, spotykamy się z zaznaczonymi w jednym z poprzednich punktów wyobrażeniami klasycznymi.

„Wiersz do Poezji“ wygląda raczej na opracowanie szkolnego tematu; nie odznacza się ani siłą uczucia, ani świeżością obrazowania. Konwencjonalizm zarówno w formie, jak w treści. Posiada w sobie coś z ody horacjuszowskiej, albo też z pseudoklasycznych kanzon akademików florenckich, którzy umieli wprawdzie podłuszczać tryskające uczuciem ryspe

i strambotty tokańskiego ludu, ale w których misternie rzeźbionej, kryształowej formie uczucie to tężało w regularne a zimne kryształki.

Przedmiot sam, „poezja“, pomimo swej abstrakcyjności, nadaje się do ujęcia go w kształty uchwytnie. Można na jego cześć wyśpiewać hymn natchniony, jak to uczynił Mickiewicz w „Wallenrodzie“ z ową arką przymierza, pieśnią gminną, i jak to później sam Lenartowicz odnośnie do tej pieśni ludowej pokazał. Wiersz zaś, o którym mowa, jest w rzeczywistości — wierszem, należy do tej samej kategorii, do której zaliczyć się dadzą owe epitalamia, urzędowe trenodje i aż do zbytku oklepane „pochwały“ poprzedniej epoki.

Trzy szczególnie cechy dostrzega autor w „Poezji“, mianowicie, że jest „matką“, „wiarą“ i „prawdą narodów“. Trójcy tej użył on też jako punktów wytycznych, około których obraca się jego ściśle odważona, wyrozumowana „pochwała“, podobna do płomienia, wykutego w głazie. Poezja jest „matką narodów“ i jako taka, ukazawszy im się z mieczem i w zbroi hartownej, rozwiawszy na wiatr swój sztandar śnieżny, roznieca w sercach zapał szalony, pchając rycerzy do boju... Gdy w zapasach upadnie bohater, wtedy schodzi ona ku niemu i wkłada mu wieniec chwały na głowę, aby śmierć miał wesołą. Zimne duchy zapaliwszy ogniem, obala tłumy niezwyciężone i ludy zbawia cudem. Poezja męczennikom stawia przed oczy obrazy lepszego świata, obrazy boskich krain weselnych, za katusze życia światłość bez końca i dlatego jest „wiarą narodów“. W charakterze zaś „prawdy narodów“ spojrzenie swoje rzuca na wybrańców, że świecą na wieki, dłońmi wiąże szermierzy „w czas ślubnych świata obchodów“, a ich duchy stawia w ołtarzu.

Ze streszczenia tego widać, że środki, użyte przez autora, zapożyczone są z arsenału poezji pseudoklasycznej, a skła-

dają się na całość, pomimo pozorów gorącego uczucia, skostniała.

Ujemne to wrażenie potęgują ponadto epitety, nadawane opiewanemu przedmiotowi. Poezja to więc córka słońca, białoramienna dziewica, odziana w szaty anioła, albo, jak Bellona czy Pallas Athene, w hartowną zakuta zbroję.

Jak przeważna część wierszy, ogłaszanych przez dwudziestoletniego młodzieńca w czasopismach warszawskich, w „Przeglądzie Naukowym“, w „Nadwiślaninie“, w „Jaskółce“ Filleborna, „Bibliotece Warszawskiej“ etc., tak i ten elaborat nie był wypływem żywego natchnienia, bezpośredniego obcowania z tymi przemagającymi żywiołami, które stworzyły prawdziwą jego poezję: obcowania z ludem i otaczającą go przyrodą, ale raczej świadectwem zainteresowania się echami rozmaitych walk literackich, szukania drogi ujścia swojemu zapałowi dla pracy twórczej.

II.

Jedną z największych zasług romantyzmu dla kulturalnego rozwoju naszego było obudzenie potrzeby zapoznania się ze skarbami, drżemiącymi w mało dotąd znanem, dla klas inteligentnych nieomal tajemniczem łonie życia ludowego. Za Chodakowskim poszedł szereg innych miłośników gminu, rozkopujących dawne grodziszczka, zbierających jego pieśni i podania.

To zajmowanie się ludem nie było tylko modą u nas, ani też wynikiem prądów literackich. Idąc za wskazówkami konstytucji Trzeciego Maja i powstania Kościuszki, że już nie sięgnę w dalsze wieki, w których upośledzenie ludu znajdowało płomienny wyraz w naszej literaturze politycznej — zwracano się do warstw chłopskich z zewnętrznej potrzeby

szukania nowych soków ożywczych dla pragnącego odrodzić się społeczeństwa.

Wpływ prądów literackich byłby się może ograniczył do stworzenia sielanki w tej lub owej formie, tymczasem nasza poezja z tej epoki, wykarmiona pierwiastkami ludowymi, przybrała prawie odrazu charakter społeczny w kierunku demokratycznym.

Goszczyński, Berwiński, Wolski, Olizarowski etc., z których niemal każdy zajmował się zbieraniem klechd i podań gminnych, tworzyli poematy, nie tylko malujące nędzę chłopa, ale, w tym czasie rewolucyjnych wrzeń socjalnych na Zachodzie, występujące nieraz bardzo namiętnie przeciwko szlachcie.

I w najbliższym otoczeniu posiadał Lenartowicz przyjaciół, wśród których wrzał kult pierwiastków rodzimych i ludowych. Im też i wogóle głębszemu wnikięciu w prądy, nurtujące w ówczesnem społeczeństwie, zawdzięcza autor „Lirenki“ charakter swojej poezji.

Ale bodźce miał on nie tylko w ludziach inteligentnych, jak choćby Wójcicki, nie tylko w rozczytywaniu się w klechdach starożytnych, lecz znalazł je także w bezpośredniem zetknięciu się z gminem.

Od wczesnych już lat w nieszczególnych żyjąc stosunkach rodzinnych, wałęsał się po polach pośród „gęsiarków i koniopasów“, u nich też szukać nam trzeba początków miłości ludu, której tak piękny w utworach swoich zbudował pomnik.

Teraz wrażenia te zaczął odświeżać; w gronie przyjaciół bujał na nowo po lasach i polach, z książką tego lub owego poety w ręku, z żądzą zespolenia się z przyrodą ojczystą i ludem w sercu.

Zapuszczał się w bliższe i dalsze okolice Warszawy, nad brzegi Narwi i Bugu, zaglądał na nowo do chałup chłopskich, które był przed kilkunastu opuścił laty.

I nie było przedmiotu w tem państwie swojskiej przyrody, któryby nie przeszedł potem do pieśni jego. Stary dąb, zgarbiony nad wodą, niewiasty, bielące płótno na brzegach, bociany, stąpające po łąkach, obłoki, jak „runo słońcem przesiąkle“, przesuwające się po niebie; rybitwy i kuliki, kołujące nad błękitami rozniebieszczonej królowej rzek polskich, łodzie flisowskie, jak cyranki szare, a za niemi tratwy i galary, pszenicą ładowne, płynące po falach, wśród szumu wiosel i krzyku i śmiechu; zawodząca nuta wiejskiej dziewczyny, lecąca po rosą zlanych dolinach; woń żywicy z borów pobliskich, brzęk pszczoły, echa pastuszych ligawek lub dzwonka, dolatującego z wiejskich kościółków, pieśń skowronczana, kukanie kukulki i gwizd wywilgi — oto żywioły, które nieprzepartą ujarzmiły go siłą i oryginalną, dotychczas niebywałą stworzyły poezję.

Na nowo zaglądał do zapadłych kątów, pomiędzy Kurpie, gdzie:

„Szumi bór, szumi las,
Sosna rośnie smolna —
Zboża nic, piasku w pas,
Ale dusza wolna.

„Od Pułtuska do Myszyńca dziadowskie przeszedł morze“; obleciał „Kurpie Gocie, przy ogniskach z nimi gwarzył i jako ptak na przelocie, uzbierał, co Bóg zdarzył“; „pobratał się z uśmiechem z narobioną Kurpia dłonią“ i „nadziei coś zachwycił, co prowadzi wprost do czynu“. Zagrzebywał się znowu w puszczach, gdzie w dniach dzieciństwa „młody, rzeźki, jak stajenne jakie żrebie, po tej Narwi, po niebieskiej, jak po drugiem pływał niebie“, gdzie „znajoma mu była każda steczka“, gdzie ongi, wypędzany przez podchmielonego ojczyzma, z „chłopakami nocną dobą ponad Narwią konie pasał“

i „po karczmach z nimi hasał“; gdzie lud — „starce, jakieś święte Marki, a niewiasty święte Anny“ — „żyje boskim cudem, jak po zimie się odmładza, w pokolenia się rozradza“ i zawsze wierny jest Polsce; gdzie pieśń, towarzysząca żołnierzowi, w Sybir gnanemu, leczy rany serca; gdzie „tylko mógł coś przybywa“, „gdzie łza upada i zasycha“.

A dziwna to pieśń, która nad temi unosi się mogiłami.

Słuchając jej, wykapaniej w rosie, świeżej, jak ten zagon z rana, „rośnie dusza, gdyby ziele“ i tak się rozradowuje, że zdaje się człowiekowi, jak gdyby ta ziemia, po której łanach pieśń ta, niewiadomo jak, leci, była krainą, płynącą mlekiem i miodem, a przecież na niej „tyle jest krwi i tyle jest łez“, że to „ziemia obiecana“ „gdzie w krwi broczą po kolana“.

Nie wiadomo, jak pieśń ta leci i skąd się bierze. Czy fruwa, jak ptaszę ponad stawem, czy mknie, jak głos, ginący w przestworzu: dość, że „obiega całym światem“, że „zabrząknawszy dzisiaj w polu, jutro już-ci na Podolu“, że „obleciawszy całym krajem, już się wdzięczy nad Dunajem“, klaszcze w borze mazowieckim lub po karpackich pnie się górach. Nikt przed nią nie ustrzeże swych progów, dojdzie ona do najdalszych braci. Za dnia, jak skowronek, ulatuje ponad zagonami, rwąc duszę za sobą, a gdy zgaśnie słońko boże, chwilę się jeszcze na pagórkach i wodach pożali, a potem spadnie na smugi i schroni się do chałup, pomiędzy dziewczęta, siedzące przy kołowrotku. Tutaj, w długie wieczory i noce, błyszczy im jako gwiazda, albo otacza je zmrokiem smutku, tańczy z szczęśliwemi, ze smutnemi smuci się, albo im wlewa otuchę. Tutaj melodyjnym językiem niesłychane opowiada im dziwy — o tej pani, co zabiła pana i, aby zatrzeć ślady swej zbrodni, zasiała na grobie rutkę i lilję, ale krew ludzka woła o zemstę, rutka i lilja zdradzają przewinę. Tutaj przywołuje im na pamięć oną wierzbę, co wydała siostrę nie dobrą: będzie

ona słodkie piła winko, śmiać się będzie do rozpuku, ale głos fujarki, wykręconej z owej wierzby, zagłuszy jej śmiech, zakłóci gody weselne. „Starsza siostra mnie zabiła“ — nuci ligawka i włosy staną na głowie pannie młodej, a lica družek bladeść pokryje — rozpierzchną się, a za nimi płynie smutny jęk fujarki:

„Starsza siostra mnie zabiła!
Smutku wiele, bardzo wiele!...“

Albo pieśń ta dawne opowie im dzieje o krwawej koszuli dzieciobójczyni, albo o tym koniu siwym, co na grobie pana swego, poległego w ciężkim boju, nóżką grzebie i żałuje, i żałuje...

„I tak w kolej, aż do zorzy,
Póki oczu sen nie zmorzy,
Wciąż się pieśń przewija słodka,
Jak to kółko kołowrotka...“

Wiersz „O pieśniach gminnych“, powyżej w głównych podany zarysach, można uważać za syntezę poezji Lenartowicza wogóle.

Bardzo wiele motywów, w wierszu tym zawartych, posłużyło do osobnych poemacików, dźwięczących tą samą jednostajną muzykalnością w formie, owianych tym samym cichym smętkiem w treści, mimo akordów na pozór wesółych.

To bezpośrednie obcowanie z przyrodą i ludem wiejskim, któremu to obcowaniu zawdzięczał wszystkie liryczne składniki swej muzy, wyrobiło w nim także miłość życia ubiegłego, popchnęło go do wciągania w zakres swojej twórczości pierwiastków dziejowych, przyczyniając się niemało do uchronienia poety od nienawiści klasowej, od plwania na przeszłość

narodu ze stanowiska demokracji, pozwalając mu natomiast życie dzisiejsze łączyć w jednolitą, nieprzerwaną ciągłość z wiekami napozór przebrzmiałemi.

Urok wspomnień historycznych działa zawsze na umysły subtelniejsze, wrażliwsze, a głębsze, choćby umysły te, przejęte socjalnemi czy politycznemi hasłami chwili bieżącej, widziały w przeszłości zjawiska potępienia godne. Urok to ukrytej gdzieś w przestworzach nieśmiertelności zbiorowej — najskrajniejszy indywidualista nie będzie w stanie tak się wyodrębnić z pośród ogółu, aby się w pewnych momentach nie czuć jego częstką — nieśmiertelności, wytwarzającej nastrój, który jest jak gdyby dalekiem, sennem przypomnieniem żywotów wspanialszych i tęsknotą za nimi, żądzą odezwania się od rzeczywistości dzisiejszej i stworzenia poza jej granicami warunków bytu nowego.

Urok ten ogarnął Lenartowicza w ziemi wielkopolskiej, u kolebki Piastowej.

Strony nadgoplańskie, które Słowackiemu posłużyły za tło do „Balladyny“ i „Lilli Wenedy“, sennie, a urodzajne równiny, pozbawione lasów, gdzie w okręgu kilku mil oko swobodnie hulać może, ześrodkowując żreniczne promienie na starej wieży kruszwickiej, opiewanej przez współczesnego Lenartowiczowi poetę, Ryszarda Berwińskiego („Mysza Wieża“), tym dzisiaj jeszcze potężnym kolosie, sterczącym na wyspie, oblanej falami historycznego jeziora, niezwykle na nim, a błogie wywarły wrażenie. Wyraz tego wrażenia znajdujemy w przypisku do „Starych zbroic“, cyklu poematów legendowo-historycznych, których ideowego i uczuciowego poczęcia szukać należy nad Gopłem. „Nie była to radość“ — mówi Lenartowicz — „z oglądania miejsca, ale podobna do tej, jakiej doświadczamy, kiedy po długich latach wygnania do kochającej powracamy rodziny; jakieś nadziemskie szaleń-

stwo dziecinne ogarnęło mój umysł; zapomniałem, iż za kilka dni będę zmuszony opuścić ziemię ojczystą, ścigany surowością pruskich przepisów, nie pozwalających pobytu żadnemu z polskich wychodźców w Księstwie; nie myślałem o tem ani na chwilę, serce kołatało jak nigdy, jak chyba podobnie w kościele częstochowskim przed obrazem surowej twarzy Matki Zbawiciela, tylko że tam zanosilem się od łez, kiedy tu zdawało mi się, że na łonie błogosławionych odpoczywam. Kmieć polski i historia jego rodu, historia kmiecio-polska, oszołomiły mi serce i głowę tak, że wobec współziomków nie mogłem słów odnaleźć do zwyczajnego użytku i byłem, jak upojony miodem dawnych wieków, szczęśliwy, jak nigdy już potem...

Nie znalazł wprawdzie, jak pisze w jednym z swych listów, pomiędzy ludem kujawskim żywych tradycyj czasów Piastowych; legendowe dzieje Popielów, patriarchalny Piast, na postrzyżynach ugaszczający posłów bożych; zaślubiny Mieszka „z dziewanną pól czeskich“, Dąbrówką; chrzest narodu, burzenie świątnic Lelowych — wyrły się w pamięci ludu tylko za pośrednictwem literatury popularnej z czasów stosunkowo niedawnych — samo jednak zetknięcie się z temi prastaremi dzielnicami musiało mu przed oczy postawić i do olbrzymich, a tajemniczych powiększyć rozmiarów przywiązane do miejsc tych, znane mu z książek legendy. Wsi okoliczne, osnute ciemną powłoką dawnych dni: Mątwy, nad rzeką tego nazwiska, Krusze, Tupadły, Ludziska, Przedbojewice, Szarlej, Kościelec, Płowce, z ich polami, na których liczne wznoszą się mogiły, gdzie dzisiaj jeszcze wyorują kości i resztki broni, musiały mu przywieść na pamięć ową przeszłość zamierzchlą, w której krew mąciła się z wodą, w której kruszyły się miecze na karkach nieprzyjaciół, w której zbrojne „tu padły“ zastępy; mu przypominać późniejsze walki ze

„złym Krzyżakiem“ i „czarnym Szwedem“, oraz bratobójcze zatargi dumnego z królem magnata.

Echa tych prastarych, ossjanowskich — możnaby powiedzieć — szczęków i zgrzytów, dźwięków i grań bojowych odbiły się też w nastroju jego liry („Ze starych zbroić“), dowodząc magicznego oddziaływania przeszłości na tę szlachetną, lepszej przyszłości żądną naturę...

III.

Poezja, wyrosła na niwie, przesyconej takimi, z przyrody i ludu płynąciami wrażeniami, zawarta w strofach „Szopki“, „Lirenki“, „Błogosławionej“, „Zachwyconej“ — o te, jako najbardziej charakterystyczne, głównie mi chodzi — entuzjastycznego doznała przyjęcia. Nazywano utwory te „arcydzielami literatury naszej i nie naszej nawet, bo w nich jest ta biała korona sztuki, która, im łatwiej wygląda w formie, tem trudniejszą jest w istocie. Inni, przesyconeni mesjanicznymi i tytanicznymi płodami ówczesnej literatury naszej, odetchnęli swobodnie, słuchając tego czystego i prostego głosu natury. Nietylko Warszawa, ale i kraj cały czytał je z uwielbieniem. Około roku 1854—7 prawie zapomniano o wszystkich innych poetach, przenosząc nad nimi Lenartowicza; sam nawet Mickiewicz w swojej pomnikowej wielkości jakby usunął się na stronę i, spokojny o swą przyszłość, słuchał, jak Lenartowicza nazywano pierwszym poetą!“

Najgłówniejszą cechą tej poezji jest, obok niezwyklej dźwięczności w rytmie, naiwna prostota, w krajobrazie uwydatniająca się jednostajnością konturu i barwy.

Przypatrując się pejzażowi lenartowiczowskiemu, spostrzegamy zaraz na pierwszy rzut oka, że poeta nasz pozba-

wiony był niemal zupełnie zdolności przedstawiania swych wrażeń za pomocą barwy.

Paleta jego posiada zasób farb ogromnie ubogi: najczęściej mamy kolor złoty, służący do określenia przedmiotów, daleko częściej martwych i alegorycznych, niżeli wziętych z żywej przyrody.

Powtarzają się więc złote szaty, złote pancerze i złote korony, złote litery, złote liście, złota kora i złote owoce rajszych jabłoni; poza tem złoci się zorza, cała kraina złotem malowana, złote świecą gwiazdy lub złocą się wody.

Nie omyłę się, twierdząc, że pod tym względem kolorystyczne ubóstwo Lenartowicza schodzi się zupełnie z pieśnią gminną, w której barwa złota ma przewagę nad wszystkimi innemi, a ma ją dla tego, ponieważ symbolizuje w sobie nie-dościgniony ideał ludu w ciężkiej, nadmiernej walce o chleb powszedni. W obiegu targowym złoto najkosztowniejszym jest kruszczem, to też prosta, z natury rzeczy materjalnemi pożądaniami nasycona wyobraźnia ludu koloru tego kruszczu używa do określenia wartości także skarbów idealnych, sercu chłopskiemu najdroższych.

Pod względem ilościowym dotrzymuje placu kolorowi złotemu kolor błękitny, stosowany do przedmiotów, które już w swej istocie barwę tę posiadają, są z jej pojęciem nierozłączne. Jest to stosowanie frazesowe, nie wynikające, jak na obrazie być powinno, z stosunku przedmiotu do oświetlenia w tej lub owej chwili. Błękitną będzie u naszego poety każda toń, staw, morze, niebo, poranek, który rzadko bardzo zmienia się w siny („Czaplę zabił dla ciebie, gdy leciała we chmurze sinem ranem na niebie“), albo w różowy; rzeka — Wisła przeważnie — niemal zawsze jest modrą, rzadko niebieską (Narew w wierszu: „Coś tam o Kurpiach“), drzewa zielone, zima brylantowe, bór ciemny lub émawy, brzegi

stawu czy rzeki zielone, czasem płowe („Narwi, Bugu płowe brzegi“), rosa biała, lilja biała, róża czerwona i t. d.

U Mickiewicza każdy obraz żyje mnogością barw — np.:

„A koło mnie srebrzył się tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody;
A tam się czerwieniły wrzosiste pagórki,
Strojne w brusznice, jakby w koralów paciórki.
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, niskie chmury“.

Analogicznego malowidła u Lenartowicza prawie że nie znajdziesz, a tem mniej obrazu, w którymby twórca uwzględnił nie tylko lokalne barwy przedmiotu, ale stopień siły ich uzależniał od oświetlenia.

Czasem usiłuje poeta nasz wywołać pewien potrzebny mu nastrój za pomocą plamy barwnej, powstałej z nagromadzenia jednego koloru:

„W szczerem polu, na ustroni
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pod jabłonią,
Złota kora pod liśćiami.
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę,
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę“.

Przeważnie zaś zadowala się proporcjonalnem ustawieniem przedmiotów, których barwy albo wcale nie określa, albo je — nie zdobi, lecz zaopatruje w kolory, w danej, od światła

„Po drodze stare
Stoją chałupy,
Nad niemi dymu
Ciagną się słupy“.

Albo:

„Kościół za wioską
Z czerwonej cegły;
Dwie wieże w błękit
Jasny wybiegły“.

Lub obraz równorzędny, w którym użycie barwy lokalnej jest również czysto mechanicznem, jakkolwiek — dzięki wzmiance o słońcu — nasunęłaby się poecie-koloryście potrzeba nadania barwom — w danym wypadku czerwonej i żółtej — właściwości, zależnych od tego słońca:

„W ogródku lilja
I mak czerwony,
Słonecznik żółty,
W słońce zwrócony“ —

A jednak krajobrazy Lenartowicza, wyglądające nieraz na zwykłe wyliczanie przedmiotów, żyją; jest w nich coś, co nas pociąga, jest w pierwszym rzędzie kształt, jest poczucie formy, jest zdolność takiego, na oko bardzo prostego, ugrupowania poszczególnych kształtów, aby tworzyły obraz.

Lenartowicz miał niewątpliwie sporo zmysłu plastycznego, który go też popchnął do zajmowania się rzeźbą, a poza tem tkwiło w nim dużo pierwiastków muzycznych, które w pejzażach jego pociągający wytwarzają nastrój zapomocą środków bardzo prostych, bardzo pojedyńczych.

„Tam brzoza biała
Włosy rozwiała,
Tu olchy błotne
Rosną wilgotne.
Noc wonna, cicha,
W liściach wiatr wzdycha.

A drzewa! drzewa
Ludziom podobne;
Bezlistne, zmokłe,
Jakieś żałobne,
Czarne w niebiosach
Wznoszą konary...“
(„Mały świątek“).

„Tu i owdzie chateńka,
Schludna, chociaż maleńka,
A przy chacie, przy onej
Owdzie dąbek zielony,
Owdzie od wierzby starej
Suche szumią konary.
(„Grajki wędrownie“).

Umie też poeta w krajobrazy swoje — zwykle senne, rozmarzone — wprowadzać ruch:

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocząc wybiegły pod wody,
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą, jak kryształ, rzeczułką,

A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej, na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce
I słońko przygrzewa w poranek“.
(„Wiecznie to samo“).

W krajobrazie tym jest prawda; przelewa się z niego wiosenne na nas powietrze, świeci ku nam słońce, widzimy jaskółki, widzimy pastucha i jego „krówki“.

Życie krajobrazów tych, acz pozbawionych niemal zupełnie barwy, przypisać należy jednemu jeszcze faktowi:

Poeta, jakkolwiek wiedział, że składniki jego pejzażów, przedmioty, ściśle z naszą zespolone wyobraźnią, te nieba, rzeki, lasy, wioski rodzinne, zboża, drzewa, same przez się, przez zwykłe ich wymienienie w odpowiedniem ugrupowaniu i powiązanie ich melodją wiersza, muszą w nas wywołać nastrój, usiłował nastrój ten spotęgować przez większe jeszcze spokrewnienie składników tych z nami, przez nadanie im duszy ludzkiej, przez stworzenie wewnętrznego związku pomiędzy nimi a człowiekiem.

Wszystkie te żywioły żyją życiem człowieka, cieszą się z nim, albo się smucą, śmieją albo płaczą, pomagają mu w pracy, albo owocami swemi darzą go za trudy. „Skowronek orze, a przepiórka pogania“ („Mazur za wołami“), albo przypomina, wołając: „pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“, że czas już zabrać się do żniwa. Śpiewa sobie dziewczyna, śpiewa i las z nią razem, a gdy zdziwiona tem śpiewaniem i tem, że jej się drzewa kłaniają, dech powstrzyma, milkną, powstrzymują dech z nią razem i brzozy („Jagoda“). Borówka, ta mała, czarna jagoda, odzywa się do zbierającego dziewczęcia: „weź-

że mnie, weź-że mnie, bo ja świeża! zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja słodka!“ A gdy chłopek świeże skiby pługiem przewala, nuca mu kosy i wywilgi, aby raźniej szła mu robota. Narodziny dziecka zwiastuje słowik najpiękniejszą swą pieśnią, a ranny wiatr na przywitanie nowego człowieka — niby towarzysza swego — roznosi naokoło słodką woń drzewa, bzów i konwalij leśnych. Kukułka jeśli kuka, to na to, aby samotnemu marzycielowi wywróżyć, ile mu jeszcze lat w ojczystej upłynie ziemi. A kiedy przyszedł czas, że człowiek musiał z rodzinnymi pożegnać się stronami i iść w świat — na wolę i niewolę, kiedy się oko w chwili rozstania gorzką łzą zalewało, zasępił się i horyzont niebieski, deszcz padał rześisty, a pod wieczór słońce było zaczerwienione, jak od płakania oczy matczyne. Z najbliższą rodziną cała płakała natura, jakby należała do tej najbliższej rodziny: wicher szumiał w polu, a kłosy pszeniczne strząsały łzy swoje na ścieżkę idącego w świat tułacza („Tak to na Mazowszu“). Nawet wrony w lesie krakały na gałęziach smutną pieśń pożegnalną.

„Kalina“ wyrosła w gaju, nad modrym potokiem, pijąca krople rosy, strojna w czerwone korale i warkocze, z cienkich uplecione gałązek, zalotna, jak dziewczyna wiejska, która, nie mając lusterka, przegląda się w źródle; igrająca z wiatrem, rozczesującym jej włosy, los swój związała z losem wiejskiego chłopaka, tęskni doń, czeka nań, jak kochanka, a gdy biedny grajek umarł, z żałoby rzuca korale, rozwiewa na wiatr zwiędłe swe liście.

„Dwa dęby“ stuletnie, jak dwaj brodaci staruszkowie, gwarzą sobie wśród cichej nocy miesięcznej, przekomarzają się o to, co z jednym i drugim się stanie, a jeden i drugi świadom jest tego, że ich przeznaczenie ściśle jest związane z losem człowieka. Towarzyszą mu w drodze jego żywota od początku do końca. Jeden mówi, że będzie kołyską, którą ludzie sianem

wyścielą, liściem ozdobią, a drugi powiada, że majstrowie żłóbek z niego sporządzą dla konika ulana. „Bądź sobie żłobem“, przekomarza się pierwszy, „a ja będę w żelazo oprawną dzidą“. „Jak ty będziesz dzidą, to ja będę trumną tego człowieka, któż z nim dłużej zostanie?“ „Nie chęć się“ — odpowiada znów pierwszy:

„Ja będę czarnym krzyżem na grobie,
A na nim napis będzie wyryty:
Tu leży wojak w bitwie zabity“.

Walecznego żołnierza zabijają, a dąb, jak najserdeczniejszy przyjaciel, ubiegający się o okazanie mu swojego współczucia, ma być głosicielem jego bohaterskiego końca.

Ta nie wewnętrzna, zespalająca człowieka z przyrodą, że oboje żyją ze sobą w braterskiej zażyłości, stwarza pomiędzy jej płodami, nie należącymi do społeczeństwa ludzkiego, nawet mścicieli krzywdy, zadanej człowiekowi.

Pani zabija pana, męża swego (Ballada), grzebie go w nocy w ogrodzie pomiędzy kwiatami i, spełniwszy dzieło, przekonana jest, że zatarła wszystkie ślady swej zbrodni. Atoli lilja i ruta, rosnące na grobie, śpiewają pieśń żalobną, której treścią czyn ów krwawy, a śpiewają tak długo, aż przypadek nie sprowadza brata zabitego. Od lilji i od ruty dowiaduje się on o smutnej nowinie i przeniewierczej żonie poleca wymierzyć sprawiedliwą karę.

Ta antropomorfizacja, a właściwie antropopsychizacja utworów przyrody, będąca wynikiem naiwnego na świat poglądu, a u Lenartowicza umyślnym środkiem artystycznym, użytym w celu nadania poezjom jego piętna tem większej jeszcze prostoty, łączy się ściśle z optymizmem, z jakim poeta traktuje duszę ludzką.

Pochwycił on w niej jedną tylko stronę, słoneczno-szlachetną, i usymbolizował ją w duszy chłopskiej, która według wyobrażeń romantyków, ugruntowanych w tendencji społeczno-narodowej, nie mogła być grzeszną, zbrodniczą, podłą. Świat różnych stanów duszy chłopskiej — a właściwie jednego, usymbolizowanego znowu w różnych postaciach wioskowych, odpowiadający najzupełniej sielankowemu otoczeniu przyrody, przypomina obrazy dawnych mistrzów, w prymitywny sposób przedstawiające raj i pierwszych naszych rodziców. Żyją oni nadzy, a „w swej nagości niewinni“, wśród bogactwa najróżnorodniejszych roślin, złanych orzeźwiającą rosą, i wśród fauny, gdzie nosorożec lub tapir, gdzie lew lub tygrys, w idyllicznej z barankiem i wiewiórką zgodzie, zdają się wdzięczyć i przymilać do uszczęśliwionych Adama i Ewy. W dali tylko, wśród gestwiny ljan i olbrzymich paproci spoczywa wąż z judaszowym wyrazem oczu — bo na malowidłach tych paszcze wszystkich zwierząt mają coś ludzkiego — czyhający na to, aby tę błogosławioną zakłócić harmonję. U twórcy mazowieckich sielanek wąż ten istnieje w postaci troski, trapiącej lud prosty, ale tak jest ukryty, że widać mu zaledwie mały czubek łba.

Wspomnianą powyżej słoneczną szlachetność duszy ludzkiej symbolizuje poeta przedewszystkiem w szeregu dziewczyn wiejskich, a właściwie znowu w jednej, w Wiochnie, przed nami w najrozmaitszych tańczącej i śpiewającej figurach.

W cichym brzozowym lesie zbiera jakaś Marysia czy Jagusia jagody, prosta, wesola, uśmiechnięta do skrawka nieba, niebieszcącego się nad głową, gwarząca z drzewami, które jej się kłaniają, z dzięciołem i wywilgą, śpiewająca wesołe chłopskie „Oj dana!“ Ale naraz myśl jej zdaje się zaciemniać, a wargi jej składają się do piosenki, dziwnie tęsknej, smutnej, zawierającej jedną z tych trosk elementarnych, które u Le-

nartowicza bywają rodzicielkami nie buntowniczej rozpacz, y
lecz melancholijnego poddania się losowi.

Melodyjne zwrotki prawią o matce, co miała dwie sieroty —
zwykle dzieje ludzkie, nie tylko wieśniacze — chłopca, który
jak złoty aniołek, przepasany krajką, opalony, bosy, Bóg
wie, gdzie szedłby za bajką — córeczkę, taką samą, jak śpie-
wająca. Dobrze im się działo pod opieką ócz matczynych, ale
przyszła chwila, że wóz, zaprzężony w siwe woły, zajechał
przed chatkę, że dziadek kościelny pochwycił za linewkę od
dzwonnicy a poza wrotami cmentarza smutna zaświeciła
tęcza, pokazując w swej czerwieni krzyże i sieroty na mo-
gile...

Śmierć posłużyła do stworzenia sielanki — bo, jak dusza
ludzka nie powinna mieć w sobie według marzeń poety ani
jednej ciemnej strony, tak też i świat, w którym się obraca,
powinien być słoneczny. A jeśli już musi być smutny, to
i chmury jego w oczach duszy zblakną, stracą orkaną swą
grozę; dusza szlachetna jest duszą wierzącą, a dusza wierząca
przyjmie cios choćby najsroższy z rezygnacją, albo z nadzieją
zmiany na lepsze. (Wiersz kończy się zwrotem: „Wola Twoja
jak w niebie, tak i na ziemi“).

Smutek, melancholia jest zasadniczą cechą duszy. Dzien-
czynę — duszę ozłaca słońce południa, przypływa ku niej
dźwięk dzwonków na szyjach zganianego z pastwiska bydła —
rzeczywistość staje przed nią w swej wyidealizowanej krasie,
ale ona wraca do głównego tonu bożego muzycznego narzę-
dzia, jakim jest życie ludzkie, do smętku, śpiewa dalej
piosnkę o losach dwojga sierotek.

I tutaj znajdujemy szczegół, który u Lenartowicza pow-
tarza się bardzo często, który stanowi jeden z głównych
punktów jego myślenia i czucia. Poeta nie mógł sobie wy-
obrazić duszy, jako bezwzględnej abstraktu, zawieszonego

między niebem a ziemią, wiązał on ją zawsze z tem, co sam umiłował najbardziej, z ziemią rodzinną nawet wyzwoliwszy ją z ciała i umieściwszy w niebie, dał temu niebu, jak to zobaczymy później, właściwości ojczystego kraju.

Sierota idzie w świat, a siostra, żegnając go, przypomina mu, ażeby za siódmą rzeką, gdy mu już zmilkną dzwony wiejskie, nie zapomniał o rodzinnych stronach, o tej chacie rozwalonej i o tem niebie, co nad jej kominem tak jest błękitne, jak oko matki nieboszczki. Niech zapomni o wszystkich, niech nie ogląda się nawet na tych ze swoich, którzy legli w mogile, ale niech pamięta, że czeka na niego nasze niebo. I sierota nie zapomniał; przewędrował kraje świata, a choć nie zbywało mu ani na chlebie, ani na soli, tęsknił przecież za kawałkiem ojczystego nieba i za krzywką wiatru ojczystego. Złotookiem piórkiem pawia pisze liścik do siostry, odsłaniający jego duszę, pełną smętku, że na obczyźnie tego mu właśnie nie dostaje.

Jest to niezmiernie subtelne przeniesienie na duszę wymarzonej kreacji artystycznej psychicznego stanu poety, który zmuszony opuścić strony rodzinne, tęsknił za niemi i w tęsknocie tej potęgował w sobie miłość ziemi ojczystej wraz z życzeniem, aby i inni tak samo ją kochali, — transpozycja uczuć, która, występując w daleko wyraźniejszych choć równie pięknych rysach w wierszu „Jak to na Mazowszu“, daje nam równocześnie klucz, wskazówkę, że nie mamy tutaj do czynienia z obiektywnymi obrazkami rodzajowymi, ale z subiektywnymi uczuciami samego twórcy, usymbolizowanymi w tych obrazkach.

Odmienne od alegorii, która jest ujęciem abstraktu w kształty realne, zmysłowem upostaciowaniem oderwanych zjawisk myślowych, czy uczuciowych właściwość symbolu obrazowego polega na pojęciowem rozszerzeniu pewnych zjawisk

realnych za pomocą pewnych, od indywidualności twórcy zależnych, środków artystycznych.

Stworzony w ten sposób obraz będzie miał znaczenie dwójakie: obrazu realnego i obrazu symbolicznego — realnego, oczywiście w znaczeniu podpadania pod zmysły, gdyż obraz, służący jako substrat symbolu, może być niejednokrotnie wyidealizowany (sama idealizacja nie jest bynajmniej symbolizacją).

Sfera zjawisk, z jakiej twórca bierze swoje symbole, jest obojętną.

Dzięki środowisku, w którym Lenartowicz spędzał swe lata dziecięce, dzięki ogólnemu nastrojowi demokratyzującego się ówczesnego społeczeństwa, po motywy do owych obrazów sięgnął do ludu i, powiedzmy od razu, idealizował zjawiska realne, których — z wiedzą czy bezwiednie, to jest obojętnie, prawdziwy twórca czyni to zwykle nieświadomie, wrodzonym kierując się instynktem, intuicją — używał jako podkładu dla przedstawienia własnych pierwiastków psychicznych, myślowych czy uczuciowych.

Przypatrzmy się temu substratowi, tym obrazom realnym — realnym w znaczeniu artystycznym i wówczas, choćby miały tylko pozory rzeczywistego życia.

Poeta przemawia przez chłopą; jakim jest ten chłop? Ze stanowiska ludoznawczego nie zawsze jest prawdziwym wewnątrznie, tak, jak nie zawsze prawdziwym w oświeceniu Lenartowicza jest życie jego zewnętrzne. Mówię: nie zawsze prawdziwym, gdyż i w wyidealizowanym oświeceniu poety ma on i jego życia rysy, których prawdziwości zaprzeczyć nie można, choćby dlatego, że rysy te są rzeczywistymi składnikami duszy ludzkiej wogóle, a dusza ludzka w istocie swej jest jedna. — Przedewszystkiem ludzie to niemal bez grzechu, przechodzą przez świat czyści — ideał poety, dotyczący duszy

i jej dróg — niewinni, jak ów „Janek stary“ (w rzewnym wierszu: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“), który od „chłopięcia szczególnie miał statek w bitwach i pracy i około dziełek“, którego dusza aż do skonu „tak była jasną, jakby co dopiero wyszła z dłoni Przedwiecznego“, a który umierając, po zapewnieniu księdza, że będzie miał nad sobą opiekę w niebie, jeden ma tylko jeszcze kłopot, co mianowicie powie, gdy stanie przed majestatem bożym, jak przywita tych świętych wszystkich i tych aniołów wszystkich, mających go w swoje przyjąć grono. „A cóż się mówi, kiedy się wchodzi między ludzi dobrych?“ pyta się kapłan konającego — „mówi się: niech będzie pochwalony...“ — „Toć prawda, prawda“ — zawoła staruszek i z tem pozdrowieniem na ustach zamyka na zawsze powieki.

Wiedział poeta, że wszędzie „są złości i kto grzechów nie ma?“, ale był też równocześnie przekonany, że ten ich posiada „najmniej, kto się roli trzyma“.

Tych „grzechów, które są wszędzie“, dostrzegał Lenartowicz pośród ludu jak najbardziej znikomą liczbę dlatego, ponieważ lud ten serdecznie ukochał.

Wielką już zbrodnią są w oczach jego ludzi te drobne przykrości, które sobie wśród trudów codziennego żywota sprawiają członkowie jednej rodziny. W „Dwóch duszach“ mamy klasyczny tego przykład. Cnota i Występek spotykają się w drodze powietrznej: duchy dwóch nieboszczyce, Barbary i Marji. Jedna z nich biała, jak słońce, kiedy się lekką okryje chmurką, druga zaś ponura, czarnolica.

Nieboszczyce, które za życia dobrze się znały, rozwiniawszy długie swe „duchny“, całuny, rozpoczną pomiędzy sobą rozmowę. I okazuje się, że pierwsza, biedne popychadelko, opalone zawsze od słońca, na ciężkie skazana trudy, że aż litość brała patrzeć się na nią, gdy żęła zboże, gdy ze zmę-

czenia ledwie-że dzbanek z wodą utrzymać zdołała, nie bielila się na żadnym blichu, nie wykapała się w tę drogę wieczystą w żadnym stawie, w żadnem jeziorze, w którem łabędzie płuczą swe skrzydła, w żadnym zdroju, co w lesie z pod drzewa wypływa, ale że ją tak wybielił twardy znój, że ją tak własne łzy, które nieraz ronić jej wypadło, z ziemskiej obmyły spiekoty.

A druga — czego się dopuściła, że w takiej czarnej zjawia się postaci? Ona, co tutaj, na świecie doczesnym, białą była, jak ściana, i rumianą, jak róża. poczerniała nie od ziół szkodziwych, ale od tego, że nieraz matce hardo odrzekła, aż tej łzy popłynęły z oczu. Te łzy matczyne stały się powodem jej zmiany.

Nie dziw więc, że lud, który moralne pojęcia swoje w taką zamyka przypowieść — „Dwie dusze“ wzięte są z podania ludowego, mającego analogję w takiej np. „Brzozie gryżyńskiej“ Morawskiego — że więc ten lud w miłością rozszerzonych oczach poety składa się z samych „świętych Marków i Ann świętych“.

Taki jest stosunek chłopu do Boga i jego przykazań.

Równie szlachetnym, równie idealnym jest on wobec swego otoczenia, które poeta skupia w pojęciu ojczyzny.

W wspomnianej poprzednio „Jagodzie“ dziewczyna wiejska — roztrząsamy obrazki Lenartowicza, jako zjawiska realne, jako substrat symbolów — dziewczyna wiejska wyraża miłość swoją dla brata sieroty za jego tęsknotę do łańców rodzinnych; jakaś Jagusia czy Marysia z wiersza „Dziewczyna“ kocha nie tylko Boga i matkę, ale zapłacznie nieraz i jest „najsmutniejszą z sióła i samotną“, gdy o ludzkiej niedoli „do chatki zła wieść zakolące“ — wówczas to — mówi:

„Na łonie mojej matki
Żal nad ludźmi płacze...”

I „Wiochnie“ łączy cięka z oczu, gdy jej zanuć „o Polaku w niewoli“. Ten sam rys powtarza się i w innych poematach. Wieje śnieżycą, szumią drzewa, ponad zagonami wzlatają wrony, naokół zimno, przeszywające kości — a z chałupy na drogę wybiegł „Chłopak“, z rękami czerwonymi, jak raki, z oczami, jak ciarki, przez wieś maszerowali powstańcy, zdaleka słyszać jeszcze nutę dzielnego marsza, widać jeszcze bagnety, połyskujące nad starym żołnierzem.

„I przeszli, minęli,
Śnieg gęsty poproszył,
Choć przeszli, minęli,
Chłopak się nie ruszył.
Na czole mu siadła
Chęć bójki zawzięta,
Po twarzy mu spadła,
Kropelka zziębnięta.
Czy mróz ją wygonił
Wędrować po świecie,
Czy z biedy łączy ronił?“

Nie! Mazur nieletni pobiegł do chaty prosić matki o takiż, jak u wojaków, karabin.

W „Grajku“ rozochoceni parobcy dolewają staremu piwa do dzbana, ażeby im zagrał taką piosenkę, którąby cała Polska usłyszała, a zagrał ją z taką mocą, „ażeby już raz dobrze było“.

W „Bitwie Racławickiej“ chłop polski nie tylko gospodarzy, kraj chlebem zasila, ale z pieśnią „Pod Twoją obronę“ na ustach, „po cztery, po cztery“ kroczy wśród powiewających chorągwi wrogie zdobywać armaty.

Lenartowicz pragnął szczęścia dla ludzi i wizerunek szczęścia chłopskiego dał nam w licznych obrazach i obrazkach, a po-

wodowany może teorjami Rousseau'a o potrzebie powrotu do życia prostego, teorjami, których echo żyło w dążeniach demokratycznych współczesnych naszemu pocięciu lepszych jednostek społeczeństwa, chciał nam dać także symbol szczęścia wogóle.

Chłop lenartowiczowski jest nie tylko bogobojny i miłujący ziemię ojczystą, ale i szczęśliwy.

W czas orki jedzie sobie „Mazur“ z wołami na pole i śpiewa sobie razem z dziewczyną, której nuta dolatuje doń z pobliskiego lasu, razem z ptaszkiem, co się nad świeżą unosi glebą. Bo i dla czegoż nie miałby sobie zaśpiewać, dlaczegoż nie miałby się weselić? Nie jest przecież żadnym „nicpotą“, ma przytem chatę i „stodółkę poszytą“, ma bydelko i dwa konie, ma żonę, którą kocha i dzieciaka małego. Wszakże i Pan Bóg ma go w swojej opiece, bo grady omijają jego zboże, a deszczyku gdy potrzeba, aby się żytko wykłosiło, również nie zbraknie. Sprzęty będą niezłe, z omlotu spadnie nawet coś dla kaleki, dla sieroty, dla ptaka, dla przyjaciela, a nawet i wroga.

Ma człowiek swoją troskę, panu hardo służyć musi, ale za to może Pan Bóg daruje mu grzechy, może pocieszy go na dzieciach, nie ma się więc czego smucić...

I nie smuci się: wyprawi córuni ślubne gody, na których „stary Józef skrzypkę stroi“, aż parobcy przytupują nogami, albo przy kwaterce zasiądzie sobie w karczmie i dalej-że na grajka i na basistę, ażeby od ucha mu rznęli. I grajek i basista nie dadzą się prosić dwa razy: „ten zawadzi, ten odprawi“, a smyczki chodzą po strunach, jak gdyby same.

I życie rozwija się, szaleje naokoło: dziewczęta nuca o tej przepiórcze, co ucieka w proso, chwytają nuty zbłąkane: ta dobra do tańca, ta do pracy, a od tamtej znikają kłopoty...

„Graj-że, grajku, będziesz w niebie, a basista koło ciebie!”
I robi się:

„Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugiem, za gromadą,
Maciej sąsiad ze sąsiadą,
A za nimi skocznym tanem
Jedzie Wojtek z dużym dzbanem,
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.
Wszyscy skaczą, jak najęci.

Zmarnowane bieda z nędzą,
Jak szalone ze wsi pędzą.

Muzyka zagłusza kłopoty codzienne i chłop, jeżeli się na nie poskarży, to tak cicho, jak gdyby bał się, żeby skargi jego nie poczytano za złe, albo jak gdyby wiedział, że to się na nic nie przyda. Zdając zresztą wszystko na wolę bożą, nie poddaje się rozpacz, chyba że się wszystko złe na niego spiknie, że mu się spali stodoła, że mu zboże grad wytłucze, że ma za cały majątek dwa doły, w których leżą żona i dziecko, że mu z chaty pozostaną same zgliszcz. Wtedy to z rozpacz do moskiewskich przystanie żołnierzy, ale nim spełni ten czyn, w dzikim tańcu pragnie choć na chwilę zapomnieć o swojej niedoli.

Tańczy, a grajek gra, aż się zmacha od grania, aż mu krople po licu pociekną, aż nareszcie sam pod wpływem szalonego Maćka prawie oszalały, rzuci skrzypce o ziemię, potrząsa je i podepce.

Zdaje mi się, że tylko ten jeden raz zdobył się Lenartowicz na przedstawienie życia chłopskiego z jego smutnej strony — to znaczy: raz tylko wylał gorycz swoją nad nędzą świata, a może i nad swoim własnym, ciężkim, do obcej ziemi przykutym losem — ale i tym razem nie każe nieszczęśliwemu np. robaka zalewać wódką, ale zgodnie ze swoją własną, pierwiastków muzycznych pełną naturą, zagłusza go muzyką.

Muzyka — jako pięknie zharmonizowany rytm i rym, jako indywidualne ustosunkowanie obrazów i pojęć, będące jedną z najgłówniejszych, najwybitniejszych zalet muzy naszego pieśniarza — jest chłopu lenartowiczowskiego nieodłączną towarzyszką.

Oszalały Maciek, będący symbolem umiłowania pieśni przez niezbyt szczęśliwego w życiu poetę, ucieka się do niej, gdy go już wszystko opuściło; nuta, wydobywana ze strun skrzypcowych, czy ligawki, unosi się nad chatą wieśniaka, nad jego stodołą i obórką, nad jego łąkami, zlewając się razem z odgłosem „dzwonka“, który i dzień zwiastuje i dzwoni na „odwieczerzy, kiedy się świat uśmierzy“ i schodzi „na Anioł pański, na ten brzeg nadwiślański“ — z odgłosem dzwonu, który kiedyś tak „huknie sercem na grobie“, że

„Wszystkie prochy po świecie
Onych ludzi, co wiecie,
Jeden wicher znów zmiecie.
I z tych prochów się złoży
Coś, jak gdyby gniew boży,
Pył do pyłu przystanie
I lud wstanie na łanie
I przebrzmiały ich głosy
W żywe hukną niebiosy;

Witaj dawna starszyzno!

Witaj matko ojczyzno!“

(„Dzwonki“.)

Nie należy do zakresu mej pracy roztrząsanie, o ile idealizacja chłopca i jego życia jest uzasadnioną czy pożądaną ze stanowiska interesów społecznych. Wrażeniu artystycznemu ona nie przeszkadza — tam, gdzie do poezji przystępujemy nie z potrzebą odkrycia w niej prawd folklorystycznych, czy publicystycznych, lecz z żądzą spotkania się z uczuciami, pokrewnymi naszym uczuciom. Pierwiastki idealistyczne, prowadzące równocześnie do idealizacji życia, ma każdy z nas, to też miło nam znaleźć odbicie ich w poezji. Zresztą „idealizacja“ chłopca i jego życia może sprzeciwiać się tzw. prawdzie realnej, jeżeli idzie o chłopca jako zbiorowisko. „Klasa“ ta do najszczęśliwszych, najlepszych, najwybrańszych nie należy (klas takich wogóle niema), natomiast i pomiędzy „klasą“ chłopską (tak samo, jak w każdej innej) znajdują się mniej lub więcej liczne jednostki i szczęśliwe i dobre i czule i kochające kraj i w lepszą wierzące przyszłość. Chłopca widziały Racławice, Miłostaw i Września i Krzywosądza, a utarte mniemanie, że chłop bardziej boleje nad utratą ciolka, niż dziecka, jest — jeżeliby się je chciało zgeneralizować — kłamstwem.

Szczęśliwy ten świat, tworzący podkład symboliki Lenartowicza, maluje poeta rysami subtelными, meissonierowskimi. Pod tym względem wzorem doskonałości jest „Wiochna“, wybiegająca z rannem słońkiem na rosę białą, tak samo, jak dwie jej siostry rodzone „Jagoda“ i „Dziewczyna“, rozkoszująca się tą „brzozą płaczącą“, co wyrosła nad rzeką, i temi jasnymi obłokami, co

...po niebieskim płynąc przestworze,

odzwierciadlają swe kształty w czystym potoku. (Zarysy pejzażowe). (Zarysy i odcienia psychologiczne): Lenartowicz wywołuje efekty szczegółami, z umysłu rozrzuconemi bezładnie:

Po głowie Wiochny snują się rojenia — sny czystej, nieskalanej duszy.

To przekomarza się z jaskółką, że nie tylko ona potrafi uwijać się w koło, ale że to jej, Wiochnie, z łatwością przychodzi; niech no tylko ogień wznieci i krówkę wydoi, aby się matka nie gniewała, a pokaże, jaka jest zwinna; to raduje się, że Bóg tyle kwiecica rozmnożył po ziemi, że dał jej braciszka, z którym popieścić się spieszy, ale że się jeszcze nie zbudził, więc od kołyski dalej do kominka ogień zrobić, a gdy się ogień rozpali, nuże czesać długie warkocze, o których ludzie tyle mówią, że jej się aż wstydzić trzeba. Nic w nich pięknego nie widzi, a tylko żmudną ma z rozplątywaniem ich robotę. (Prawdziwy umysł dziecięcy, w którym się wrażenia nie łączą w jeden łańcuch, ale są jak rozsypane razem perły i korale).

Matka jej powiada, że nie rośnie, ale to nie prawda, bo niech tylko ciepły na wiosnę popada deszczyk, niech się w nim porządnie przemoczy, a odrazu będzie tak — duża.

Pajak przędzie szare swe włókienko i ona tak samo, a przytem mędrsza jest od niego, bo i na książce czyta, i w kościele się pomodli i baranka na Wielkanoc jak żywego ulepi, a gdy w Trzy Króle zrobiła:

„Świątą Pannę i Syna
I czarnego murzyna
Ze skarbami w szkatule
I z lirenką pastuszka,
To się ludzie zbiegali,

Z całej wioski lecieli,
I za głowę się brali,
Matce wierzyć nie chcieli...“ itd. itd.

„Wiochna“ może być w założeniu przesentymentalizowana, ale jako ideał naiwności, sympatyczny czy nie, to wszystko jedno, jest robotą doskonałą.

IV.

Lenartowicz był człowiekiem religijnym; wierzącym. Według jego wyobrażeń życie bez wiary „byłoby niezmiernie głupią farsą“. „Występowanie przeciwko wierze jest właściwością ludzi płytkich, a prawi poeci i artyści noszą w sobie to żywe uczucie (wiary) i mogą zwać się kapłanami z urodzenia“. „Żaden wielki genjusz nie był nigdy ateuszem. Bez idealizmu nasze istnienie nie miałoby celu; praca, nauki, kunszt, dzieła wspaniałe, stałyby się prostą chimerą“.

„Owoż tak być nie może, a samaż absolutna negacja wiedzy ku twierdzeniu. Nie mgły to i pomroka zwątpienia, otaczające słońce prawdy, lecz błogosławione światło jego daje życie światu“.

„Umysły wielkie i genjalne posiadają mądrość, której służyć poczynają od pierwszego tchnienia swego, a tej przyświeca zawsze myśl i wiara w Istotę najwyższą, jedyną“.

Wiara Lenartowicza była katolicką, błogosławieństwo, które otrzymał od papieża — a z powodu którego zarzucono mu w pewnym odłamie prasy warszawskiej jezuityzm, wstecznicstwo, klerykalizm — uważał sobie za „chlubę przed rodziną i u potomności“, wobec czego „wszystkie honory świata są niczem zaiste“, jakkolwiek raził go dworski przepych, otaczający głowę kościoła, jakkolwiek papieżem powinien być

„najuboższy gdzieś, a serdeczny, stary mnich. Idę do dziada — mówi — powzdycham, poprowadzi mnie do kaplicy, odmówi litanję i dobrze“. W oczach jego „pod pozorami liberalizmu protestanckiego kryły się zdrada i właśnie braterskie, zdolne zburzyć gmach cały“, mimo to jednak umiał być w sprawach wyznaniowych obiektywnym i zwłaszcza, gdy szło o wybrańców narodu, posądzanych o libertynizm, znaleźć dla nich słowa, godne, aby je sobie zapamiętano, słowa, dowodzące, że, wiernym będąc katolikiem, katolicyzm ten pojmował — notatka powyższa o papieżu-mnichu — dość, jeżeli idzie o stosunek do dogmatów, swobodnie: „Adam pyszny, Adam niewierzący“ — mówi o Mickiewiczu — „ach! Boże! biedneż te sądy nasze! Kazimierz Brodziński, ów poeta, który pisał kantaty dla loży masonskiej, przed zgonem, jak wspomina Bohdan Zaleski w Przedmowie do „Posłańca do narodu“ miał widzenie Chrystusa Pana i zmarł jak święty; Juliusz Słowacki, heretyk, bo co on nie pisał, skonał na rękę przyjaciela, dziś arcybiskupa Felińskiego, kapłana męczennika, przyjąwszy przenajświętszy Sakrament. Za Zygmunta Krasieńskiego, w chwili jego konania, Pius IX. w kościele św. Piotra odprowadzał modły, jako za najwierniejszego sługę Kościoła. Adam skonał namaszczoney świętym Olejem, o czem mówił mi ksiądz Ławrynowicz, który mu takowego udzielał, a ostatnie jego słowa były jakby echem z Patmos: „Kochajcie się, dzieci moje!“; i co tu prawić o herezjach? Że czasem wyobrażenia zaleci gdzieś w sfery ciemniejsze, którychby święty Tomasz z Acquinu nie potwierdził, to nic nie dowodzi; oceniając takich wieszczów, należy brać za miarę wiary nie wywody, ale ich konkluzje. Owoż w konkluzjach wszyscy nasi poeci są chrześcijaninami, a zgonem katolikami. Walka pojęć, burze duchowe, ale nad tem wszystkim przewija się jak złoty baldachim procesji Bożego Ciała chorągiew z na-

pisem: Za Boga, Wiarę i Ojczyznę. Nie bądźmy tak surowi dla poetów, bo gdyby przyszło pisma pisarzy kościoła rozbierać, niejednokrotniebyśmy okresy na panteizm zakrawające napotkali“...

Zaznaczenie pierwiastku wiary w Lenartowiczu, człowieku prywatnym, zaznaczenie jej własnymi jego słowami, było mi potrzebne dla wykazania jego stosunku do składników religijnych, zawartych w jego poezji. Tylko z pod pióra człowieka wierzącego mogły wyjść takie poematy, jak „Zachwycenie“, „Błogosławiona“, „Dzieci nazareńskie“, „Święta praca“ i tak dalej.

Pisząc je, nie miał zamiaru tworzyć obrazków etnograficznych na tle wierzeń ludowych, podlanych sosem literacko-poetyckich sentymentów, ale tła wierzeń ludowych używał celem ujawnienia własnych nastrojów psychicznych, dla pomieszczenia których tło ludowe wydało mu się najodpowiedniejszym, najbardziej zbliżonym do zasadniczego tonu jego duszy.

Pod tym względem Lenartowicz wydaje się mi bardzo podobnym do owych głęboko religijnych malarzy szkoły staroniemieckiej, którzy sceny z życia Chrystusa przenosili w świat sobie współczesny, nadawali im koloryt swojej ojczyzny, zapelniali je tłumem, nie tylko odzianym w stroje staroniemieckie, ale będącym w charakterze swoim odbiciem ludzi nie Chrystusowi, lecz malarzowi współczesnych. Czynili to, może i z nieznajomości warunków historycznych, wśród których spełniało się Ukrzyżowanie, ale przede wszystkim dla tego ponieważ ludzie, ich otaczający, ludzie wiary, ludzie prości najbardziej odpowiadali ich wierze, ich wrodzonej prostocie.

Mieliśmy wielkiego poetę, u którego uczucia religijne przybierały formę mistycznej ekstazy. W niebiańskim upojeniu zdawał się on, jak święty Franciszek z Assyżu, Chrystusowe

uczuć stygmaty, a bolesne rąk przekłucia, nóg i boku, oraz krwawiące ślady cierniowej korony na głowie były dla niego rozkoszą.

Razem z świętą Teresą, której „głoszę“ na swój rodzimy przepisał język, piórem, maczanem w krwi własnego serca, widywał on postać „Ukrzyżowanego Boga-Człowieka, nie ukrytego w przenaświętym Chlebie, nie tajonego przesłonami cudu“, ale widywał go „takim, jakim bywa pomiędzy aniołami, a widywał go lepiej nawet od świętych, bo silniej i goręcej kochał go, niż Oni“. A kochał go nie dlatego, że miłującym go przyobiecuje „gody w Królestwie swoim — palmy, harfy i dziwy“, ale dlatego, że „na ziemi będąc, przeboleł wszystko“, co tylko boleć może, że zniósł wszystko, co tylko poniżyć może, że On, Bóg, przybity został do drzewa krzyżowego, że zdradzili go ludzie, że odbiegło go niebo, że do własnego Ojca wołać musiał, iż go opuścił“.

Religia Krasińskiego była religią cierpienia, nie wynikającego z anormalnego stosunku słabych sił ludzkich do nakładanych na nie ciężkich obowiązków w tej doczesnej podróży, ale religią cierpienia dla cierpienia, miała więc w sobie pierwiastek wyfilozofowany. Nie była czynnikiem etycznym, który człowiekowi żyć każe celem zamieniania tego życia w szereg szlachetnych uczynków, ale była tęsknotą do śmierci, ażeby w sferze zaświatowej móc już na zawsze obcować z Tym, który na ziemię schodzi do wybrańców swoich — w ich wizjach — tylko na chwilę.

Wiara jego była wiarą owych średniowiecznych ascetów, którzy dnie i noce przepędzali w modlitwie, bicząc grzbiet swój ołowianami dyscyplinami dopóty, dopóki z omdlenia, spowodowanego krwi upływem, przedrażniona wyobraźnia nie poniosła ich przed Piłata, Annasza i Kajfasza, do ogrodu Oliwnego i na Golgotę, gdzie sądzono ich jako zbrodniarzy,

gdzie plwano na nich i żelazną prawicą ciężkie wymierzano im policzki, gdzie ich odziewano w purpurę i trzcinę, zamiast berła, w rękę dawano, gdzie wychylali kielich goryczy, przez bożego zniesiony im anioła, gdzie judaszowskie paliły ich całunki, gdzie przybijano ich do krzyża, stawiając ich, duchy czyste i zbawienia świata pragnące, pomiędzy skalanymi, na zgubę tego świata czyhającymi łotrami.

Tracili oni bowiem w ekstatycznym uniesieniu granice pomiędzy tem, co jest ludzkie, a co jest boskie; jak św. Szymon Słupnik, chępnili się wobec bóstwa, że pod względem znoszenia katuszy niema im równego i że za to powinni być wynagrodzeni, albo, jak święta Teresa, wynosili się dzięki cierpieniu ponad klęczące u Chrystusowego krzyża Magdaleny: nad ich miłość większej nie było miłości.

Wiara Teofila Lenartowicza, tak jak się przejawia w jego obrazkach lirycznych, jest zasadniczem tamtej przeciwieństwem.

Nie jest ona ani wypływem dociekań teologicznych, ani emanacją zmęczonego czy zrezygnowanego umysłu filozoficznego, który nie mogąc dojść w drodze empirycznej czy spekulatywnej do zbadania przyczyny wszechrzeczy, rzuca się w objęcia mistycyzmu.

Jest to wiara naiwna dziecka chłopskiego, pełna uczucia, ale także pełna pierwiastków sensualistycznych, uważająca nieraz za prawdę realną to, co według nauki Kościoła jest tylko symbolem.

Jest to wiara, która z rzewną szczerością podaje umarłemu gromnicę, rozwija chorągiew z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed której obrazem pada w kościele na wznak i gorącemi łzami zimną zlewa posadzkę.

Jest to wiara, która mai krzyże przydrożne liśćmi tataraku, wiankami rozchodniku i gałęzmi zielonej brzeziny.

Wiara, która kredą święconą w Trzech Króli kreśli na drzwiach chałupy ich znaki i opisuje nią stodoły, stajnie i obory, aby dobytek nie zmarniał.

Jest to wiara, która świętemu Florjanowi każe strzec słomą krytych chat chłopskich od pożaru, świętemu Walentemu leczyć nawiedzonych „bożą-wolą“ (epilepsja), świętemu Janowi chrzcić wodę w wądolcach, aby pogasił w niej zielska trujące.

Wiara, która suszonemi ziołami, a poświęconemi w Boże Ciało, okadza wymiona bydła, aby więcej dawało mleka.

Wiara, która w wieczór wigilijny nie prędzej nakazuje rozpoczynać z dziewięciu czy siedmiu potraw złożoną wieczerzę, aż gdy się na niebie pierwsza ukaze gwiazda.

Jest to wiara, która wieczerzy tej nie pozwala spożywać inaczej, jak na stole, sianem przykrytym, która pierwszy kąsek każe zanieść gospodarzowi domu do obory i rzucić je bydłu do żłobu.

Wiara, która w czterech rogach izby stawia w ten wieczór święty snopki pszenicy, żyta, owsa i jęczmienia.

Wiara, która powiada, że w noc tę bydło pomiędzy sobą rozmawia.

Jest to wiara, która głosi, że krówka, gdy ze snu wstaje, na przednich kłękach nogach i westchnie sobie, niby przy pacierzu, zanim rozpocznie żuć przy żłobie; że bydełko pada na kolana na odgłos dzwonka, towarzyszącego księdzu, gdy do chorego kmiotka z Przenajświętszym spieszy Sakramentem.

Jest to wiara, która uczy, że matka-nieboszczyca, pozostawiwszy biedną sierotę w domu, powraca z północkska odwiedzić niemowlę i że duchy dziećmi niechrzczonych błakają się po drogach rozstajnych, wołając chrztu świętego.

Jest to wiara, która w czasie klęsk elementarnych łączy

przyjaciół nie przyjaciół, wrogów nie wrogów w błagalne procesje.

Wiara, ofiarowująca dzieci chorowite do Najświętszej Panny Gidelskiej, Markowskiej lub Pierańskiej i, w razie uzdrowienia ich, za grosz z pod serca wyjęty skromne zawieszająca wota, wiara, równie silna na katolickich Kujawach, jak i na protestanckich — pomimo przeciwdziałania ortodoksyjnych pastorów — Mazurach wschodnich.

Jest to wiara, radująca serce największego sceptyka w kalendarzach, lży wyciskająca w suplikacjach, do szpiku kości przesywająca w wspaniałem „Święty Boże! święty mocny! święty a nieśmiertelny!“

Jest to wiara prosta, zgruba ociosana, jak krzyż, postawiony pomiędzy dwiema płaczącymi wierzbami, na kawałku murawy, wśród żyta lub owsa, ręką chłopskiego „fundatora“.

Wiara tak silna, że na jej wezwanie spokojny, pracy nad rolą oddany chłop pójdzie, zawiesiwszy szkaplerz na pierśsiach, w najkrwawszą zawieruchę.

Jest to wiara, wierząca, że w przeddzień Sądu Ostatecznego spłynie na ziemię na płomiennym wozie wielki prorok Eljasz, aby raz jeszcze opowiedzieć słowo boże i ludzi do pokuty przywołać; że staną przeciw niemu dwaj fałszywi prorocy, wysłańcy „Ancykrysta“, który ma się narodzić z Żydówki, że krew się poleje po całym świecie i że, nim zagrzmi trąba „Archaniola“, na świecie tym nikogo nie będzie już z żyjących, że umarli pospieszą na „dolinę Józefata“ i tam, przemienieni w białe owieczki i w kozły czarne, rozstąpią się za wolą Najwyższego Sędziego, że jedno z nich staną po prawicy, a zaś drugie po lewicy — wedle zasługi lub przewiny; że powstanie wielki jęk po jednej, a wielka radość i wesele po drugiej stronie.

Wierzy ona, ta wiara, w piekło, niebo i czyściec, a do mę-

czarni w nich lub radości przykłada miarę spotęgowanych tylko radości lub męczarni ziemskich.

Trójkę świętą, choć wie, jaką jest otoczona jasnością, iż tylko Archaniołowie oglądać mogą Jej oblicze, a zaś dusze zbawione tylko Ją czują, przedstawia sobie przecież zupełnie po ludzku: Boga-Ojca w postaci siwowłosego z długą brodą starca z berłem w ręce i płaszczu długim, Boga-Syna, z twarzą rozpromienioną zwycięstwem, które odniósł nad szatanem, kiedy po śmierci swojej do piekieł wstąpił, aby wyprowadzić z nich patriarchów i proroków, napół obnażonego, z zaschniętą raną w boku, ze znakami czerwonymi na nogach i rękach, napół odzianego w purpurę, trzymającego krzyż, godło zbawienia; Boga-Ducha Świętego w postaci białej gołąbki, rozpiętej nad Trójką: dla tej wiary nie są to symbole, uzmysławiające Bóstwo troiste w Jednym, ale mają dla niej znaczenie rzeczywistości. Tak ona je sobie wystawia i tak je maluje na tych rozlicznych obrazach jarmarcznych czy odpustowych, zdobiących ściany każdej chałupy.

Jest to antropomorfizacja, będąca u Lenartowicza, którego poezje religijne z powyższych składają się pierwiastków, znowu środkiem artystycznym, uzmysławiającym jego własne, proste, szczere, naiwne uczucia, jako twórcy-poety, a nie jego poglądy, jako myśliciela.

Folklorysta, krajoznawca czy etnolog w tych uzmysłowieniach, dokonanych ogółem bardzo wiernie według wyobrażeń artystycznych ludu, zawartych w jego obrazach, jego pieśniach (np. w „Kantyczkach“), mógłby obfity znaleźć przyczynek do studjów nad kulturą chłopu polskiego; historyk sztuki doszukałby w wielu analogji z „prymitywami“ bizantyńców, Giottów, Fra-Angelików, Lorenzettich, mistrzów staro-niemieckich etc.; badacz rozwoju ducha religijnego dopatrzyłby się w nich śladów pojęć, zawartych w Apoka-

lipsie, w Patrystyce, w hymnach św. Bonawentury, Jacopa da Todi, Wenancjusza i innych, płomienną wiarę swą zamykających nie w dociekaniach i spekulacjach filozoficzno-teologicznych, lecz konkretyzujących ją w uczuciu.

Klasycznym przykładem takiego skonkretyzowania wiary w uczuciu poetyckiem za pomocą środków artystycznych naiwnych, prymitywnych są dzieje Chrystusa, zawarte w „Dzieciach nazareńskich“.

Pod względem formy sielanka pasterska, odmienna jednak od wypudrowanych sielanek francuskich wieku osiemnastego przez swoją szczerość, przez swoją treść religijno-uczuciową.

Świat kantyczek: — Nad Betlejem zabłysnęła gwiazda złota; po świecie rozniosła się wieść, że narodził się władca nad władcami, król nad królami. I oto trzech mędrcomie ze Wschodu, w koronach na głowie i sukniach złoto-litych, spieszą z darami, trzech możni królowie z wielbłądami i murzynami, ażeby nowo-narodzonego hołdem przywitać. Wieść ta dotarła i do polskiej wioski i oto w ślad owych mędrców podążają Grzegorz, Jaśki i Staszki.

— Np.: „Bartos wziął gąskę, Kuba barana, Błażek słodkiego mleka pół dzbana, Jan gomulek porwał z pólek, niosąc do Pana“ (Kantyczka: „Szczęśliwe czasy się nam zjawily...“)

Cztery do Betlejem wiodą drożyny; najlepiej wybrać prostą, jak ta wiara chłopska. Wybrali i poszli i dotarli do stajenki, nad którą gwiazda świeci i czuwa Bóg-Ojciec. W stajence, którą aniołek poprzęta, Józef, Marja i Dzieciątko Boże pomiędzy przeżuującym wołem i chuchającym osiołkiem.

— Np.: „Osiołek i z wołem stoją przed nim spolem, zagrzewają swego pana, upadają na kolana...“ (Kantyczka: „Jezus, śliczne kwiecie...“)

— „Wejdą w szopę, mali Anieli strugali złotą wierzbkę i lipkę, Dzieciątku na kolebkę“.

— Np.: „Jeden kąpiel grzeje, a drugi się śmieje, trzeci pieluszki suszy, każdy rad służy duszy“ (Kantyczka: „W Betlejem przy drodze“).

Kmiotkowie polscy chcą zaśpiewać Jezusowi małemu, ale zapóźno: wyszedł rozkaz od srogiego króla, aby wszystkie nowo-narodzone pomordować dzieci, więc rodzina święta gotuje się do ucieczki. Panna Najśw. w krasne pieluszki i wstążeczki owija dziecinę, a Józef krząta się około osiołka, który ma ponieść matkę i syna. Idą, a nasi chłopkowie podążają za nimi z darami: z plasterkiem miodu, z dzbaneczkiem mleka, z workiem orzechów leśnych, ażeby uciekającą Rodzinę głód nie spotkał w drodze...

Obraz się zmienia. Ziemia naokół, jak Kwietnia Niedziela; wietrzyk podzwania, ruczaje szemrzą, po polu nad lasem prześliczne mają się kwiaty, mała dziecina bawi się wianeczkiem, nie z lilij i nie z róż, ale z ciernia i głogów (ostatni motyw z Botticellego: Madonna, w „Museo Poldi-Pezzoli“ w Medjolanie). Obok starszych Józef w niebieskiej sukmanie wyciosuje siekierą żłobek sierocy, nucąc: „Kto się w opiekę“, a tam z puszczy przyczają się mały chłopczyna z trzcinowym krzyżem (Botticelli: Madonna, Museo Civico w Piacenzy) w rękę, to przyklękuje, to rączki jakby do pacierza składa, a za nim białe pospiesza jagniątko, „to się zatrzyma, to się zacieknie, na cierniach, głogach żałośnie beknie, jako jagniątko...”

Tym chłopczyną to „Janek z puszczy“, przed Panem prostujący drogę Jan Chrzciciel.

Powitanie dwóch dzieciąt bożych, „Jasiuchna“ z Jezuskiem, które ze snu wstają o świcie, razem z skowronkiem, prędeż „od rybek, śpiących pod wodą“, rozczuli patrzących na nią chłopków:

„Patrzcie no, Stachu, jak rączki plotą,
Aż mi coś w sercu z radości szlocha,
Dwoje dzieciątek na śmierć się kocha.

Rozczulił się niem i Józef i, rzuciwszy siekiere, wziął Jezusa na ręce. I dziecię boże, jak na owych odpustowych „bohomażkach“, bawi się siwą brodą piastuna, albo obejmuje go za szyję jedną ręką, a zaś drugą sięga po sześciolistną lilję, wykwitającą z laski Józefowej.

Ale dziecię boże niedługo zabawi na łonie przybranego ojca, spieszo mu spełnić swe zadanie. Wyrywa się z objęć i bieży, aby z pagórka, u stóp rozwalonego zamku królewskiego, wołać do wzgardzonych i biednych:

„Pójdźcie ubodzy, ja was zbogacę,
Pójdźcie skrzywdzeni, ja wam zapłacę“.

„Janek z puszczy“ z jagnięciem i z trzciniowym krzyżykiem wyrywa perze przed nim, oczyszcza z zielska ścieżki i miedze. I naokoło nich gromadzą się niewiasty z Nazaretu, dzieci swoje wiodąc za rękę lub niosąc je z sobą, w zachwycie uklękają przed Jezusem.

Tymczasem przyszła pora obiadowa i oto Lenartowicz śliczną tworzy sielankę, symbolizującą istotę Chrystusowej nauki, która wszystko, co żyje, silną ogarnia miłością.

Do dzieci nazareńskich zlatują się słowiki i skowronki, pelikany i wielkie strusie — na obrazach mistrzów niemieckich natura reprezentowana bywa również przez zwierzęta egzotyczne, — przybiega wiewiórka i lew i wszystko zwierzę, jakie jest na świecie, aby z rąk Jezusa wziąć pożywienie. Wszędzie panuje zgoda:

„Panicz każdemu na rączce poda,
Każde pogłaszcze, pobłogosławi,
Z każdym pogada, potem odprawi:
Idź, idź, mój strusiu, idź, lwie kudłaty,
Owiec mi nie bierz, nie chodź na czaty,
Z Bogiem już, z Bogiem...”

I rozeszło się wszelkie stworzenie, przyjąwszy pokarm boży, naukę Chrystusową, i złociste słońce rzuca z lazurów blaski swoje na ziemię wokół, że cała ziemia jak wymalowana, a spokojna, a cicha, rządzona mądrością i sprawiedliwością przedwieczną.

(U Jezajasza: „I będzie sąd przemieszkiwał na puszczy, a sprawiedliwość pole urodzajne osiadzie.

„I będzie pokój dzieło sprawiedliwości, a skutek sprawiedliwości odpocznienie i bezpieczeństwo na wieki“. (Rozd. XXXII, 16, 17). „Wilk z baranem paść się będą społem; lew, jako wół, plewy jeść będzie, a wężowi proch będzie chlebem jego; nie będą szkodzić ani zatracać na wszystkiej górze świętej mogły, mówi Pan“ (Jezaj. LXV 25).

Proroctwo Micheaszowe:

... „i przekują miecze swe na lemiesze, a oszczepy swe na kosy: nie podniesie miecza naród przeciwko narodowi, ani się więcej ćwiczyć będą do boju“;

Ale „każdy będzie siedział pod winną macicą swoją i pod figowem drzewem swoim“ (Rozdz. IV 3, 4).

Pieśń słoneczna św. Franciszka z Assyżu, w której żywioły i twory przyrody traktowane są jak rodzeni bracia człowieka:

Laudato sie, misignore, cum tucte le tue creature,
spetialmente messer lo frate sole...
Laudato si, misignore, per sora luna e le stelle...

Laudato si, misignore, per frate vento
et per aere et nubilo...

Laudato si, misignore, per sor acqua...

. . . per frate focu

. . per sora nostra matre terra... i t. d.

Ale niestety! słońce powoli zaczyna schodzić z horyzontu, a gdzieś tam słyhać, jak się ludzie swarzą o ziarno bobu... Dziecko wraca do warstatu Ojca, w ślad za nimi (Jezusem i Józefem) kroczą polscy nędzarze; żegnają go pieśnią, którą lud nasz przywykł śpiewać w czasie „Gorzkich żali...“:

„Dobranoc, kwiecie, kwiecie róžany,
Dobranoc, dziecię, Jezu kochany,
Dobranoc!“

Ale nim się Jezus do snu położy, spożyje z Marią i Józefem symboliczną wieczerzę, wyrażoną u Lenartowicza nie majestatu pełnym nastrojem Leonarda, lecz spokojnemi barwami słonecznej idylli, poza granicami której czyha jednak mrok. Święta rodzina zasiadła do stołu, nakrytego białym obrusem. Dziecię boże przeżegna się (nakreśli znamię),

„W oczach Józefa bułkę rozłamię,
Rozdzielę wino Matce starcowi:
Jedzcie i pijcie owoce boże
Jeszcze wam dodam, jeszcze dołożę,
I w ustach dzwonią słoweczka rącze:
Choć krwi z paluszka to wam usącze...“

Tak więc aż do chwili, poprzedzającej śmierć na Golgocie, Lenartowicz, jako artysta, w szeregu „bohomażków, prze-

znaczonych na chłopską ścianę“, przedstawił nam, łącząc rysy, zapożyczone z Ewangelji i Proroków, z cechami podpatrzonemi w chłopskiem obejściu, historję życia Naza-rejczyka.

Na początkowych stronicach niniejszego szkicu wspom-
niałem, że Lenartowicz nie miał w naturze swojej pierwiastku
grozy. W wyobraźni jego nie było tych sił, któreby mogły
przedstawić tragiczne działanie wielkiego bólu. Rozwiany
jest ten ból u niego wszędzie, ale w formach niezmiernie łag-
odnych, jako smutek i melancholja. Troska u niego to czubek
głowy wężowej na „prymitywach“, przedstawiających życie
w Raju. Przed tem największem poety zadaniem, przed
przedstawieniem tragedji duszy w jej kształtach surowych
a olbrzymich, musiał się cofnąć poeta i w „Dzieciach naza-
reńskich“, zakrojonych na sielankę. Zakończył on sielankę
nie rozpięciem Mistrza na krzyżu, lecz ułożeniem dzieciny do
snu, nie wyciem rozpasanej tłuszczy, miotającej obelgi na
Zbawcę, lecz adoracją chłopów polskich. Zeszli się przed
stajenką kobieźnicy i grajkowie, lirnicy i juhasi, ażeby zagrać
kolendy i złożyć Panu dary, uzbierane w polskim lesie i na
polskiem polu. Złożyli podarunki i odeszli, prosząc w duchu
świętą dziecinę:

„O długie zdrowie, o miłą zgodę,
O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę,
O szczęście w kraju,
O pobyt w raju,
O królowanie
Wraz z Tobą, Panie,
Na wieki...“

Ten „Raj“ — z którym wchodzimy w analogję Dantej-
skie — jest również odbiciem realnych stron życia ludu, w ich

formie wyidealizowanej, życia na łonie przyrody w jego przez poetę według ideałów Rousseau'a lub greckiej „eudaimonji“ wymarzonych kształtach.

O piekle, czyśćcu i niebie napisał Dante poemat, który przetrwał wieki i wieki trwać będzie. O ten sam temat pokusił się Lenartowicz, który, jak wiadomo, wielką dla twórcy „Boskiej Komedji“ żywił cześć. Gdy jednak „Boska Komedja“ była potężnym, o gigantycznych rozmiarach obrazem rozkładających się wieków średnich oraz budzącego się dnia nowego — jako tło i środek artystyczny — a jako idea obrazem namiętności, grzechów, wzlotów, cierpień i ekstaz duszy ludzkiej — gdy w obrębie swych kręgów, w których pokutowali wielcy owych dni zbrodniarze albo rajskiej używali rozkoszy mężowie, wiernie spełniający słowo boże, żyjące w sercu i umyśle surowego hanity, gdy więc nieśmiertelna trylogja Danta mieściła w obrębie swych kręgów wszelkie ówczesne pojęcia i zasady polityczne, filozoficzne, teologiczne i moralne, Lenartowicz w utworach swoich — w „Zachwyceniu“, „Błogosławionej“ i „Świętej pracy“ — stworzył stosownie do charakteru swej duszy liryczne obrazki, poetyzujące życie chłopca polskiego, jego wesela, troski i wierzenia. Jak życie pozagrobowe Danta jest odzwierciedleniem, albo raczej symbolem życia wieków całych, czy duszy ogólnoludzkiej, tak życie pozagrobowe w „Zachwyceniu“ i „Błogosławionej“ jest odbiciem urzędzeń, pragnień i dążeń, radości i smutków i trosk ciasnego życia doczesnego duszy ludowej polskiej.

Stosownie do wyobrażeń ludowych, które rozróżniają raj od nieba (tak samo jak od „piekła“ lud odróżnia „ciemnicę“, w której przed wybawieniem przez Chrystusa pierwsi przebywali rodzice, patriarchowie i prorocy i cnotliwi mędrcomie pogańscy) widziała „Zachwycona“ przedewszystkiem Raj.

Pejzaż: Raj to ogród, otaczający dworzec niebieski.

W ogrodzie tym pełno drzew, jak w sadzie chłopskim. Na drzewach wiszą złociste owoce: to dusze najczystsze, które za żywot cnotliwy przemieniane zostały w te jabłka i grusze kosztowne (Baśń ludowa o Madeju rozbójniku).

W niebie, jak na chłopskim polu, rośnie pszenica, rosną przeróżne zioła, które również są duszyczkami.

Na tle tego pejzażu idylla pasterska: Jezus jako pasterz boży (symbol chrześcijański: Chrystus z owieczką na ramieniu, pomiędzy innemi w katakumbach Kaliksta w Rzymie) pasie białe baranki, znowuż dusze, co cierniowe przeszły męki, których życie doczesne było ofiarą (w chrześcijaństwie zarówno, jak w judaizmie — ofiara Izaaka między innemi — baranek był godłem ofiary; baranek boży, Chrystus, cierniową nosił koronę). Obok Jezusa Najświętsza Panna przędzie na koszulki dla biednych sierot „babie lato“ (zwane u ludu także przędzą Matki Boskiej). Robota idzie raźnie i z przędzy tej wszystkie sieroty miałyby okrycie, gdyby nie psotny wietrzyk (troska „Jagody“ o kwartę soli, czubek łba węzowego na „prymitywach“), który, silniejszym będąc od zamysłów po ludzku pojętej Królowej Niebios (stosunek sił ludzkich do żywiołów Przyrody), nici jedwabne zrywa. Sielanka chłopska nie obejdzie się bez ligawki lub skrzypiec: więc są w niebie anieli, którzy na złotych grywają skrzypcach, nauczywszy się przeróżnych pieśni — tam, gdzie jej się uczą „ptaki niebieskie“ i „nasi ludzie“:

„W rumianej zorzy,
We łzach radości, w miłości bożej“.

Jak pomiędzy przyrodą a człowiekiem, tak pomiędzy niebem a ziemią ścisły jest związek. Widać stamtąd i chałupę wiejską i dziewczę, zbierające ziele, i dziada proszalnego

i kmiotka przy pługu i wszystko, co się na ziemi dzieje. Aniołowie patrzą złotymi gwiazdami; litość nad nędzą ludzką tak ich wzrusza, że płaczą rosy kroplami, a „od tej rosy, od tej litości, zboże się pleni“ (morał niczem praca ludzka, gdy jej nie pobłogosławią moce niebieskie). Gdy zaś protegowani ich grzeszą, wówczas błedną, radując się natomiast z każdego dobrego uczynku.

Grzechy i wszelkie przewiny oraz dobre uczynki człowieka zapisuje apostoł Piotr do wielkiej księgi, którą trzymają dwaj płomienni anieli (analogon: „I widziałem po prawej ręce siedzącego na stolicy księgi napisane, wewnątrz i zewnątrz zapieczętowane siedmioma pieczęciami... I widziałem anioła mocnego, wołającego głosem wielkim: kto jest godzien otworzyć te księgi? odpieczętować pieczęci ich?!“ Objawienie św. Jana, R. V, 1, 2), lub, jak podczas procesji Bożego Ciała trzymają ewangelję celebrującemu dwaj ministranci.

W niebie wiadomem jest wszystko, co się na ziemi stanie: jeżeli kto ma umrzeć, wtedy jeden z aniołów wymienia jego imię i nazwisko.

W obrazach tych stosunek człowieka do Boga jest patriarchalnym stosunkiem służby do pana i odwrotnie.

Dusza-służebnica (w „Błogosławionej“), otrzymawszy skrzydełka ptaszka, nad czoło mały, świecący krążek i jasną z niebieskich wstążek przepaskę, wchodzi do nieba, jak najmitka w progi życzliwych jej gospodarzy: nasamprzód pokłoni się, a potem ucałuje koniuszek sukni świętych patronek i pod ich opieką przechodzi niebieskimi przybytkami, spotykając co krok świętych, naturalnie tak, jak ich widziała na obrazach w kościele lub w domu, ze wszystkimi ich godłami, z aureolą ponad głową.

Odwrotnie: istoty, spotykane w niebie — chlebobawcy — wielce są dla niej życzliwe. Ledwie zdołała nadmienić coś

o sierocie, którą pozostawiła na świecie, a już zlecieli aniołowie na ziemię, jeden z rajskimi jabłuszkami do jej dziecka, drugi z kroplą wody krynicznej do czyśca, zwilżyć usta jej matki, trzeci nad rzekę do pasącego owce jej kuma, aby nauczyć go rozpoznawania różnych ziół, dla leczenia bliźnich, inny znowu spuszcza się do jej brata, aby mu dodać sił do zniesienia męczarni gdzieś na dalekiem, zapewne sybirskiem, wygnaniu.

W niebie tem, jak w kościele, dźwięk organów łączy się ze śpiewami ludu, rozbrzmiewają anielskie głosy i melodje, a pieśń, która się naokół rozlewa, to znane duszyczce z tamtego jeszcze świata pozdrowienie: „Zdrowaś Marjo! Zdrowaś Marjo Panno, Pan z Tobą!...” (NB. Nabożeństwo majowe).

W tym patryarchalnym stosunku Boga-gospodarza do człeka-służebnika leży podniesienie ciężkiej pracy chłopskiej na wyżyny przewspaniałej cnoty, godnej największej nagrody: w pobliżu Boga, którego jednak dusza z powodu wielkiej jasności widzieć nie może (pokora chłopa wobec „jasnego pana“), a tylko go czuje,

„Na wyrabianej srebrzystej tacy,
Leży kłos złoty rolnika pracy“, —

leży, obok innych cnót kardynalnych i ich godeł, obok „na-wróconej lezki grzesznika“ (brylantowa gwiazda), obok „waleczności rycerskiej“ („puklerza-miesiąca“, który „zasłaniał biednych pasterzy i dla miłości żywego Boga bronił samego wroga od wroga“), obok „ciążącego jak młyński kamień ze złota“ grosza wdowiego, obok korony bożej „z okrutnych cierni“, ponad którą anieli niosą krzyż Pański,

„...co raniony ogarnia wieki,

Taki ogromny, a taki lekki,
Że i najmniejsze dziecko w pokorze
Na swoich barkach unieść go może“.

Oglądanie tych niebiańskich symbolów, a raczej alegoryj, jest nagrodą za to, co ma być początkiem i końcem życia, za dobroć serca (prof. St. Tarnowski słusznie zauważa, że jedną z cech głównych Lenartowicza była „dobroć, przerażająca się nawet w miękkość zbyteczną“):

„Maleńkie serce jakby z koralu;
A z tego serca szły trzy promienie:
Miłość dla ludzi, ciche cierpienie
I ta, co ziemskie życie ozłaca
Nieustająca, spokojna praca“.

Dalszy ciąg związku nieba z ziemią i personifikacja sił przyrody tkwi w postaciach mitologii chrześcijańskiej.

Ta nieustająca praca kończy się dla człowieka dopiero w niebie: tutaj może on sobie, jeżeli chce, po rajskim biegać ogrodzie, albo wylegiwać pod złotą jabłonią, albo w srebrnej łodzi pływać po niebieskiem jeziorze, wybrawszy sobie wioślarzy do woli — o jasnych skrzydłach, różanej twarzy. Opatrzność boża sama słoneczny chleb dla człowieka piecze, a potrzeba mu sukni na przyodziewko, “ak mu zaraz aniołowie srebrną albo złotą tkają lamę.

W niebie jest całe gospodarstwo, a poszczególne prace wykonują święci. Praca ta ukazuje się w skutkach swoich na ziemi.

Święta Urszula strzyże w niebie owieczki, które nad ziemią po firmamencie pasą się w kształcie obłoków. „A gdy na całej nieba przestrzeni w krąg się zaciemni i zazieleni“, święci ko-

sarze sieką kosami złotymi niebieskie siano. Kosa od czasu do czasu natrafia na kamień i wówczas na ziemi zjawia się błyskawica. A skoro posieką i sianem potrzęsą, wówczas, jeżeli to jest rano, niebo nad ziemią błękitnieje, a jeśli wieczór, to gwiazdy zaświecają ogniste.

Po zakończeniu swej roboty święci zostawia czasem swój sierp, który jest księżycem.

Gdy ziemię śnieg pokryje, wtedy na niebie święta Łucja dnia przysparza, aby ludziom było jaśniej, a gdy już tyle złotych rozrzuci promieni, że słońce w kościele pada na chrzcielnicę, zjawia się Agnieszka święta i na wywiady pierwszego na ziemię wypuszcza skowronka. Nie wróci on śpiewak wiosenny, to jest to hasłem dla innych ptasząt, że spadają gromadnie nad sioło, by zwiastować lato

Święty Grzegorz rozkazuje złocistym swym pastorałem Wiśle, aby lody zrzuciła ze siebie, a święty Wit zbożom, aby się piętkowały. Milknie też na jego skinienie ptactwo śpiewające („Święty Wit słowik cyt“), natomiast w pełnem lecie szeleszczą dojrzałe owsy, brzęczą jęczmiony, grają komary i pszczoły.

Święty Wawrzyniec strąca dziewczętom orzechy z leszczyny, a święty Bartłomiej ostrzy w niebiesiech siekierę, a na znak ten padają po lesie drzewa stare, święci zaś Szymon i Juda sprowadzają na świat przymrozki i grudy. W ślad za nimi atoli spieszy święty Marcin na białym koniu i kawałami srebrnego płaszcza otula zziębniętą nędzę ludzką.

„Tak to po niebie praca wciąż snowa,
Jak z ust pocziwych serdeczne słowa“.

(„Święta Praca“).

Żyją więc święci i dusze zbawione, według relacji „Błogo-

sławionej“, tak samo podług kalendarza, jak dobrzy gospodarze na ziemi.

Szczęśliwy ten, kto się w tę górną dostanie krainę, natomiast gore duszom, które grzechy zawiodą do Czyśćca, a jeszcze straszniejsze, bo nieustające, męczarnie czekają tych, za którymi zawarły się bramy piekła.

W malowidle tych przybytków płaczu i niedoli zlewają się wyobrażenia gminne z reminiscencjami dantejskimi.

Czyściec to wielka pustka — jedna z pustyń dantejskich, — żadna nie wyrośnie trawka, gdzie ciągly jęczy wicher, od którego zimna biedne drżą dusze, krwawiąc sobie nogi po twardej grudzie. Do dusz tych schodzi czasem na ich prośby anioł boży z pociechą, z koroną Chrystusową, z której krople krwi spływają. Widok jednak tego symbolu męczeństwa w większe jeszcze wprawia skazańców cierpienia: jest to żal, że w doczesnej podróży swojej sprawiali występkami boleść Ukrzyżowanemu. Dusze doznają pewnej ulgi, odmawiając modlitwę: „Zdrowaś Marjo“, przenika je wtedy ciepły promyczek, łagodząc przejmujące zimno.

Ale jest to, na wzór kręgów Dantowych, jedna tylko stacja. W następnej, razem z „Zachwyconą“, widzimy stromą, ponurą skałę, a na niej rzędem siedzące dusze, spoglądające na puste żywota swego pole, po którym snują się występki przeciwko czystości i inne marne uciechy. Widok ich napędza pokutujących uczuciem niesłychanego wstydu, zasłonić jednak oczu nie mogą, ponieważ ręce mają kryształowe.

Inne dusze wołały: „miłości ludzi i łaski nieba“, zaś inne, dzieci niechrzczone, domagały się jękiem chrztu dla zmazania pierwotnego grzechu. Z niemi najłatwiejsza jest sprawa: wiara ludu uczy, że upiory takie, zjawiające się w postaci skrzatów nad drogami, wystarczy przeżegnać, a od razu przemienia się w aniołki.

Uczyniła to i „Zachwycona“ i dzieci uleciały w prześlicznym obrazie do nieba:

„Prześliczne duszki, od puchu lepsze,
Wzlatują w górę i nad mą głową
Wiszą plecionką złotą, różową,
Im wyżej lecą, tem nieznaczniejsze,
Coraz to mniejsze, coraz to mniejsze...
Jeszcze znać słodki uśmiech aniołków
I lekką odzież barwy fijołków,
Wreszcie znikają, jak krople rosy
I nic już niema, tylko niebiosy“.

„Przez tych dzieci kryształne ciała“ zobaczyła „Zachwycona“ raz jeszcze niebo w czyszcę — głęboko odczuta, a prostą przenośnią uwydatniona myśl o wielkości „maluczkich“ — i potem po drodze przez „jakieś zgnile, cuchnące łąki“, po liljach białych, które pięknie wprawdzie wyrosły, ale w których kielichy „Szatan nalał swej trucizny“, przeszła do Piekła, gdzie znowu reminiscencje z „Boskiej Komedji“, silniejsze, niż w obrazach Czyśca, łączą się z naiwną wiarą ludu.

Na wstępie przywitała „Zachwyconą“ jakaś rodzina, przedstawiająca obłudę: członkowie jej płakali razem, okazywali wzajemnie współczucie swej nędzy, a jedni drugich kluli pod serce. Tak, jak ludzie na stacji tej piekielnej wszystko jest kłamliwe: zwiedzająca wyciągnęła rękę po kwiat złocisty, który rósł u jej stopy, ale kwiat ten podniósł, jak żmija, łeb do góry i zaczął syczeć...

Szatan dwojaką ma postać: czasem, jak ów czarny duch, a czasem jak anioł; raz ma obrzydliwy lot nietoperza i cały świat ogarnia, niby siecią pajęczą, swem piekielnem technie-



Biblioteka
Studium
Zaocznego

P. W. S. P.

Kraków

Kasprowicz

Pisma proza

t. I B 33292

Kdn. Zam. 163. 17. III. 52. — 60.000.

UP - Kraków BG



1050210533